

Bez retuszu.

Wywiad z profesorem Kazimierzem Dziewońskim

Zbigniew Rykiel

Stowarzyszenie Naukowe Przemian Społeczna i Środowisko,

al. Rejtana 16c, 35-959 Rzeszów

gniew@poczta.onet.pl

Abstract

Without retouching. Interview with Professor Kazimierz Dziewoński

Prof. dr Kazimierz Dziewoński (1910-1994) is a classic of modern Polish settlement geography. As a longtime employee, and at one time a deputy director of the Institute of Geography (and Spatial Organization), Polish Academy of Sciences, He created his own scientific school, which has gained widespread international recognition. He promoted 21 doctors, among whom the present author was the fourteenth one. For his students and co-workers, Professor was an undisputed master and substantive authority, but also a hero of numerous anecdotes. This does not change the fact that the most prominent Professor's students undertook with his master a scientific polemic, which he bravely endured. The most important Professor K. Dziewoński's theoretical concepts are: the theory of the urban economic base, the theory of the economic region and the concept of the settlement system, which – despite having entered the canon of spatial research – are still a source of intellectual inspiration.

Professor's true format was manifested in the fact that he never rested on the intellectual laurels of his professorship, but not only worked intellectually, but also studied until the end of his days. Larry Bourne of the University of Toronto aptly wrote after prof. K. Dziewoński's death: "He was a great man [...]. I personally learned a lot more from Him than He ever thought" (cf. footnote 1). This last sentence can be repeated by many of us – Professor's students – who are aware that the criticism of the Master's works by those of us who dared to do so, was – to paraphrase Yi-Fu Tuan – the sincerest form of praise.

A formal, concise, biography of prof. K. Dziewoński can be found in the Polish edition of Wikipedia. The only foreign – English – language version strikes, however, with both a poverty of content and linguistic awkwardness. Despite an attempt to publish a volume devoted to Professor K. Dziewoński a few years ago, this undertaking – entangled in the modes of bureaucratic machine of institutional science – did not come to fruition. This text can therefore be regarded as a tribute to the Master on the 110th

anniversary of His birth. The last two sentences of this interview are dedicated to those who understand anything of this: "scientific work, a good scientific work, defends itself. It will not die".

1. Wstęp

Prof. dr Kazimierz Dziewoński (1910-1994) jest klasykiem nowoczesnej polskiej geografii osadnictwa. Jako długoletni pracownik, a w pewnym okresie wicedyrektor, Instytutu Geografii (i Przestrzennego Zagospodarowania) Polskiej Akademii Nauk stworzył własną szkołę naukową, która zdobyła powszechne uznanie międzynarodowe. Wypromował 21 doktorów, wśród których piszący te słowa był 14. z kolei. Profesor był dla swych uczniów i współpracowników niekwestionowanym mistrzem i autorytetem merytorycznym, co nie zmienia faktu, że wybitniejsi z nich podejmowali ze swym mistrzem polemikę naukową, którą znosił mężnie. Najważniejsze koncepcje teoretyczne profesora K. Dziewońskiego to: teoria bazy ekonomicznej miasta, teoria regionu ekonomicznego oraz koncepcja systemu osadniczego, które – mimo że weszły do kanonu badań przestrzennych – wciąż są źródłem inspiracji intelektualnej.

Szacunek, jakim cieszył się prof. K. Dziewoński wśród swych uczniów, nie zmienia faktu, że Profesor był bohaterem licznych anegdot. Charakterologicznie choleryk, co sam podkreślał, potrafił reagować (zbyt) gwałtownie na bulwersujące go zachowania, co następnie łagodził okazywaniem specyficznego zakłopotania, które jednak mieli okazję zauważyć tylko nieliczni. Urodzony jako osoba leworęczna, był – zgodnie z duchem epoki – socjalizowany do normatywnej praworęczności, czego skutkiem był fakt, że pisał prawą ręką, rysował zaś lewą. Urodzony pod Moskwą, nigdy publicznie nie mówił po rosyjsku, tłumacząc, że nie chce kaleczyć języka A. Puszkina. Kiedy w czasach pierestrojki kolejne seminarium polsko-radzieckie odbyło się we Lwowie, organizatorzy z Moskwy postanowili oprowadzić polskich kolegów po radzieckim mieście, co szło im niespecjalnie; prof. K. Dziewoński, który znał to miasto najlepiej z całej wycieczki, gdyż tam był studiował, rzekł wówczas do gospodarzy: „to może ja Was oprowadzę”. Kiedy na innym seminarium polsko-radzieckim – we Wrocławiu – pewien członek delegacji polskiej przez kurtuazję próbował wygłaszać swój referat po rosyjsku, nie znając tego

języka, Profesor rzekł: „niech Pan mówi po polsku, wtedy przynajmniej Polacy będą Pana rozumieć”. Największy podziw obserwatorów budziła jednak umiejętność Profesora polegająca na tym, że – przysnąwszy z brodą na piersi podczas nudnej prelekcji – potrafił nie tylko obudzić się w odpowiednim czasie, ale i zabrać sensownie głos w dyskusji.

Prawdziwy format Profesora przejawiał się w fakcie, że nigdy nie spoczął na laurach intelektualnych swej profesury, lecz nie tylko pracował intelektualnie, ale i uczył się do końca swoich dni. Trafnie ujął to Larry Bourne z Uniwersytetu w Toronto, który po śmierci prof. K. Dziewońskiego napisał: „Był wielkim człowiekiem [...]. Ja osobiście nauczyłem się od Niego wiele więcej niż kiedykolwiek sądził”¹. To ostatnie zdanie może powtórzyć niejeden z nas – uczniów Profesora, którzy mają świadomość, że krytyka dzieł Mistrza przez tych z nas, którzy się na to odważyli, była – by sparafrazować Yi-Fu Tuana, najszczerzą formą pochwały. W tym kontekście dwa ostatnie zdania poniższego wywiadu dedykuję tym, którzy cokolwiek z tego rozumieją.

Poniżej przedstawiono rozmowę z prof. Kazimierzem Dziewońskim z dnia 25 listopada 1987 r., będącą częścią znacznie dłuższej rozmowy jej uczestników. Zredagowana forma tego wywiadu, mimo drobnych skrótów paru wątków pobocznych, nie zmienia mówionej formy narracji i w żadnym razie nie poddaje wypowiedzi retuszowi. Piszący te słowa żywi nadzieję, że wywiad ten – opublikowany po 33 latach – okaże się nie tylko ciekawym świadectwem epoki, ale i inspirujący.

Formalny, zwięzły, życiorys naukowy prof. K. Dziewońskiego można znaleźć w polskim wydaniu Wikipedii². Jego jedyna wersja obcojęzyczna – angielska³ – poraża natomiast zarówno ubóstwem treści, jak i nieporadnością językową. Mimo podjętej kilka lat temu próby wydania tomu poświęconego profesorowi K. Dziewońskiemu przez były instytut Profosora i piszącego te słowa, przedsięwzięcie to – uwikłane w tryby biurokratycznej maszyny nauki instytucjonalnej – nie doszło do skutku. Niniejszy tekst trak-

¹ J. Kostrowicki, P. Korcelli, 1994: *Wspomnienia pośmiertne: Kazimierz Dziewoński (1910-1994)*. „Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”, 57, s. 52.

² https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Dziewoński.

³ https://en.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Dziewoński.

tuję zatem jako hołd złożony Mistrzowi w 110. rocznicę Jego urodzin i minioną niedawno 25. rocznicę Jego śmierci.

2. Wywiad

Zbigniew Rykiel: Dzisiaj chciałbym rozpocząć naszą rozmowę od tematu światopoglądu. Mianowicie chciałbym rozpocząć od pytania, jakie środowisko kształtowało światopogląd Pana Profesora.

Kazimierz Dziewoński: Muszę powiedzieć, że bardzo różne środowiska. Najpierw środowisko rodzinne, a nawet gdy już podzielone na dwie części, bo ojciec reprezentował światopogląd przyrodniczy z końca XIX czy początków XX wieku, politycznie bardzo liberalny, może nawet lewicowy. Moja matka reprezentowała środowisko katolickie, może, powiedzmy, postępowe, ale też z końca XIX wieku. Wychowana była w klasztorze niepokalanek. Szkołę kończyła tam. Więc to były już podwójne, nie zawsze zgodne ze sobą, wpływy światopoglądowe. Ale największy wpływ światopoglądowy na mnie wywarła oczywiście praca w czasie akademickim, w stowarzyszeniu Odrodzenie, które było bardzo specyficznym środowiskiem, ulegającym wpływom dwóch zakonów: z jednej strony dominikanów, z drugiej strony – benedyktynów, i które się cechowało oczywiście wpływami filozofii tomistycznej, czy nawet, można powiedzieć, neoscholastycznej.

No a w szczególności na kształtowanie się mojego światopoglądu olbrzymi wpływ wywarły pisma Jacques'a Maritaina. Równocześnie później dosyć duży wpływ na mnie wywarła szkoła socjologiczna, która wywodziła się z poglądów Le Playa, którą reprezentowali, w wypadku moich zainteresowań, z jednej strony – Patrick Geddes i Louis Mumford. Tak że tutaj trudno mówić o jednym środowisku. Ja sądzę, że każdy zresztą w swoim życiu przechodzi przez różne środowiska i z każdego z nich czerpie jakieś elementy, takie czy inne. Problem polega na tym tylko, żeby stworzyć swoją własną syntezę tych różnych wpływów.

ZR: Właśnie. Następne pytanie, które chciałem zadać, dotyczyło tego, czy identyfikuje się Pan Profesor obecnie z jakimś systemem filozoficznym. Rozumiem, że to jest neotomizm, prawda?

KD: Oj, nie można powiedzieć neotomizm, bo neotomizm w jakimś sensie jest przewyższony. Może najbardziej by mi odpowiadała szkoła ojca Innocentego Bocheńskiego, która łączy zagadnienia tomizmu - ale nie neotomizmu, tylko tomizmu - z zagadnieniami logiki nowoczesnej, logiki matematycznej. Z tym, że ja nigdy nie przeszedłem przez żadne regularne studia filozoficzne. To trzeba bardzo silnie podkreślić. Ja zresztą sądzę, że całe moje pokolenie, jeśli chodzi o urbanistykę i geografę, przeszło przez proces samouctwa. To jest... bardzo specyficzne elementy - z jednej strony, że się nie ma bardzo zdecydowanych mistrzów i jednego typu szkoły, z drugiej strony - jest pewna, że się tak wyrażę, poligeneza poglądów. Człowiek, tak z lektur i z własnych przemyśleń, czerpie takie czy inne elementy, które mniej lub bardziej owocnie, czy skutecznie, wiąże w jeden system. Ja muszę powiedzieć, że bardzo mi odpowiadają poglądy Wittgensteina, który twierdzi, że na świecie mamy do czynienia z całym szeregiem zespołów logicznych, które nie są między sobą uzgodnione, czasami są wręcz sprzeczne, ale które współistnieją i wzajemnie na siebie wpływają.

ZR: Czy sądzi Pan Profesor, że ten Pana system światopoglądowy - nie chciałbym powiedzieć filozoficzny w takim razie - znajduje odzwierciedlenie w działalności naukowej Pana Profesora, ewentualnie w działalności społeczno-politycznej? Rozumiem, że w działalności społeczno-politycznej swojego czasu znajdował odzwierciedlenie...

KD: Ja nigdy nie działałem właściwie w układzie politycznym; raczej w społecznym. Odrodzenie się bardzo ostro odcinało od wpływów politycznych. Przeprowadziło - jeżeli już chodzi o historię - bardzo ostrą walkę z poglądami nacjonalistycznymi, ale i w obrębie samego Odrodzenia odbywała się walka z ludźmi zbliżonymi do chrześcijańskiej demokracji. Tak że Odrodzenie zawsze chciało być właściwie apolityczne. Chciało być organizacją społeczno-religijną. Ale to już tylko tak nawiasowo. Natomiast jeżeli chodzi o moją działalność naukową, no to przypuszczalnie światopogląd powinien znajdować odbicie w działalności. Natomiast ja nigdy nie starałem się wiązać bez-

pośrednio światopoglądu z działalnością naukową. Taki, jaki ja jestem, to odgrywa rolę w działalności naukowej. Natomiast działalność naukowa ma swoje własne prawa i swoje własne elementy, i chyba należy unikać nawet usiłowań powiązań bezpośrednich. Ja sądzę, że niepowodzenia marksizmu polegały na tym, że właśnie zlekceważyły ten zasadniczy element, że w działalności naukowej wpływy światopoglądowe mogą tylko iść poprzez ukształtowanie umysłowości i kultury człowieka, który prowadzi badania naukowe.

ZR: Ale czy sądzi Pan Profesor, że jest możliwe uprawianie tzw. nauki wolnej od jakichkolwiek wpływów światopoglądowych? To znaczy, że światopogląd jest z jednej strony, a nauka – z drugiej?

KD: To nie chodzi o to... Oczywiście, że w każdej działalności światopogląd człowieka odgrywa rolę, ale on nie powinien być elementem..., on pośrednio, poprzez osobowość badacza, wpływa na wyniki. Natomiast w samym badaniu pracownik naukowy musi być całkowicie wolny od wszelkich wpływów zewnętrznych. On musi badać rzeczywistość i usiłować znaleźć odpowiedź w tej rzeczywistości. Jego umysłowość jest ukształtowana przez światopogląd, a nie jego praca naukowa.

ZR: Dobrze. W takim razie chciałbym z kolei zapytać, jaka była droga Pana Profesora do tego światopoglądu. Częściowo Pan Profesor o tym powiedział. Natomiast chodzi mi o to, czy były jakieś może większe przełomy światopoglądowe u Pana Profesora w procesie kształtowania się światopoglądu?

KD: Nie, chyba nie było wielkich przełomów. No, w pewnych momentach podejmowałem pewną tematykę, czy pewne zagadnienia, zapoznawałem się z nimi i one wpływały, ale żeby to miało charakter nawróceń, to nie mogę tak powiedzieć.

ZR: Czy mógłby Pan Profesor z kolei wymienić najbardziej cenionych klasyków. Częściowo to słyszałem przed chwilą, to znaczy Maritain, jeśli chodzi o neoscholastyków, prawda?

KD: Maritain nie był *sensu stricto* neoscholastykiem, no, ale mniejsza z tym.

ZR: Ale jeżeli pytanie dotyczyłoby klasyków, to właśnie Maritain by się pojawił w tym kontekście...?

KD: No, w jakimś sensie Tomasz z Akwinu. Trudno mi powiedzieć, żebym miał jednego mistrza. Raczej w pewnych fazach czerpałem inicjatywę, czyli myśli, czy koncepcję z określonego pisarza. Obawiam się, że moja odpowiedź tutaj nie odpowiada schematowi pytania.

ZR: Tak, schematowi nie odpowiada.

KD: A jak Panu chodzi o mistrzów, to miałem jeszcze jednego mistrza w młodości, do którego czasami tylko wracam, to jest Chestertona, a oprócz tego na mój styl wielki wpływ wywarł Cyceon, jak się uczyłem łaciny. To są takie zabawne elementy wpływów, ale takie wpływy, moim zdaniem, można by prześledzić w mojej pracy.

ZR: Chciałbym z kolei zapytać o stosunek Pana Profesora do marksizmu, to znaczy czy marksizm oddziaływał i czy wpływał na Pana Profesora? Ja mam tutaj swoją hipotezę, ale poproszę o wypowiedź Pana Profesora.

KD: No więc będąc zawsze praktykującym katolikiem, mój stosunek do marksizmu jako światopoglądu był wysoce sceptyczny. Natomiast sędzę, że przeszedłem do syć dobre seminarium z ekonomii marksistowskiej, pracując w Komisji Planowania i przez kilka lat biorąc udział w zebraniach kierownictwa Komisji, prowadzonych przez dra Jędrychowskiego – ówczesnego przewodniczącego. Muszę powiedzieć, że to były wysokiej klasy seminarium z ekonomii politycznej.

ZR: Czy uważa Pan Profesor, że jakieś wpływy filozofii marksistowskiej, czy marksistowskiego sposobu myślenia, są widoczne w pracach Pana Profesora?

KD: Ja sędzę że tak. Ja sędzę, że są widoczne oczywiście z okresu lat pięćdziesiątych, ale i później. Ja nie mogę powiedzieć, żebym nie przyswoił sobie pewnych koncepcji... Notabene ja, o ile raczej bybym niechętny do traktowania, czy zajmowania się marksizmem jako systemem filozoficznym, to uważam i cenię bardzo wysoko wkład marksizmu jako systemu socjologicznego. Mnie się zdaje, że się nie docenia jeszcze elementu socjologicznego w myśli Marksa. Z tego by wynikało, że mnie bardziej interesuje Marks niż Engels.

ZR: Jeśli wolno mi tutaj zdobyć się na własny komentarz, to całkowicie zgadzam się z opinią Pana Profesora, że się nie docenia elementów socjologicznych, natomiast ja z kolei bardziej cenię Engelsa niż Marksa, właśnie w tym samym kontekście zresztą.

KD: Różnica poglądów.

ZR: Tak, różnica poglądów; ale jedźmy dalej. Czy można prosić o wskazanie dzieł XX wieku, które Pan Profesor uważa za przełomowe i które ewentualnie najsilniej na Pana Profesora wpłynęły.

KD: Co to znaczy dzieł?

ZR: Które byłyby kamieniem milowym w rozwoju ludzkości.

KD: Nie, nie; nie oto chodzi. No, nie chciałbym szukać takiej analogii. Ja się pytam, jeśli chodzi o książki, czy chodzi o obiekty materialne? Za dzieło można uważać na przykład budynki.

ZR: Oczywiście. Raczej miałem na myśli książki.

KD: To jest bardzo trudno powiedzieć, dlatego że właściwie dopiero perspektywa czasu pozwala określić skalę dzieła. Tak że nie podjąłbym się tutaj odpowiedzi na to pytanie.

ZR: Rozumiem. Wracając do bardziej bezpośrednich wpływów – czy może Pan Profesor wymienić osobę, którą by Pan uważał za swojego mistrza, ewentualnie wskazać kilku swoich mistrzów?

KD: Właściwie odpowiedziałem. Ja się nad tym namyślałem. Właściwie nie mogę powiedzieć, że bym miał jednego mistrza, zwłaszcza takiego, którego bym chciał naśladować.

ZR: Czy wobec tego identyfikuje się Pan Profesor z jakąś szkołą naukową?

KD: No nie; też nie. Już właściwie na to odpowiedziałem. To znaczy, że ja z tomizmu zaczerpnąłem umiarkowany realizm, z późniejszych prac zaczerpnąłem zagadnienia nowoczesnej logiki matematycznej, które mnie interesowały i które wywarły – może zwłaszcza w ostatnich trzydziestu czy dwudziestu latach – wielki wpływ na sposób myślenia, czy prezentowania wyników, ale... Na końcu to, co człowiek robi, jest sumą tego wszystkiego, co poprzednio przeżył, czy spotkał. Mnie się zdaje, że nie należy szu-

kać tutaj takiej jednoznacznej identyfikacji. Przynajmniej w moim wypadku. Zawsze byłem trochę kotem, który chodzi własnymi drogami, jeśli użyć porównania Kiplinga.

ZR: Chciałem z kolei zapytać o kolegów Pana Profesora w sensie naukowym. Którego z nich uważa Pan za najwybitniejszego i jaka byłaby motywacja tego wyboru?

KD: To jest bardzo trudno odpowiedzieć, dlatego że jeśli chodzi o moich kolegów, to oni się rozproszyli. Ja poza tym, jak Pan wie dobrze, pracowałem na pograniczu kilku nauk, skutkiem tego właściwie nie mam kolegów *sensu stricto*, to znaczy takich, którzy by szli w tym samym kierunku co ja. Poza tym... Ja muszę powiedzieć, że ja nie lubię klasyfikowania ludzi. Są ludzie bardzo wybitni, którzy potem nie mają żadnego osiągnięcia, czy żadnych wyników. Tym samym okazuje się, że nie są tacy wybitni. Są ludzie, którzy się wydają bardzo mało wybitni, a skutkiem wielkiego nakładu pracy dochodzą do olbrzymich wyników i wtedy się okazuje, że są bardzo wybitni. Więc właściwie sądzić ludzi można dopiero po zakończeniu ich życia i to jeszcze z perspektywy pewnego upływu czasu. Potem zwykle jest taki element socjologiczny, że bezpośrednio po śmierci kogoś następuje okres jakby zapomnienia o nim i dopiero potem z powrotem on się wyłania jako pewna postać wysokiej klasy.

ZR: Rozumiem niechęć Pana Profesora do oceniania własnych kolegów, wobec tego może zapytam, czy poproszę, o ocenę najwybitniejszych uczniów.

KD: Nie, więc jeśli chodzi właśnie może... Na kolegach, to ponieważ oni się rozeszli w różnych kierunkach, więc jest trudność odpowiedzi, trudność porównań, który jest wybitny, który niewybitny. Czy można porównywać wybitnego fizyka z wybitnym geografem? Czy wybitnego architekta z wybitnym planistą przestrzennym? Natomiast jeżeli chodzi o uczniów, no to jest bardziej jednorodny zespół. Niemniej znowu tutaj wracam do tego – byli uczniowie, czy są uczniowie, których uważam za bardzo zdolnych, którzy w tej chwili właściwie jakoś nie mogą odnaleźć siebie. Są inni, którzy skutkiem powolnego rozwoju dochodzą do dużych wyników. Niezależnie od tego trzeba pamiętać, że są ludzie, którzy nagle zaczynają współpracować ze mną, ale w gruncie rzeczy są wychowankami innych ludzi. Inni ludzie, inne środowisko ich ukształtowało. I odwrotnie – moi uczniowie odchodzą do innych środowisk i tam podlegają innym

wpływow. Tak że też nie chciałbym... Ja uważam, że tego rodzaju klasyfikacje są bardzo niebezpieczne.

ZR: Dobrze. Przejdźmy wobec tego w trochę innym kierunku, mianowicie na grunt już zdecydowanie geografii. I w tym kontekście chciałem zapytać, czy uważa Pan Profesor, że stworzył szkołę naukową?

KD: Bardzo by mi było przyjemnie, gdybym stworzył. Ale oczywiście to wszystko zależy od tego, co rozumiemy przez szkołę. Przez szkołę można rozumieć, że jest zespół ludzi, którzy zajmują się pewną problematyką. To jest zespół ludzi, który się posługuje określoną metodą, czy zespół ludzi, który reprezentuje pewien wspólny światopogląd, ale światopogląd naukowy, a nie ogólny światopogląd. Na końcu może być to zespół ludzi, którzy są szczególnie silnie związani przyjaźnią, czy relacjami zaufania. No więc trudno mi powiedzieć, czy... Na pewno nie stworzyłem szkoły, jeśli chodzi o tematykę naukową. Jakkolwiek pewne wysiłki w tym kierunku robiłem, może to potem jeszcze będziemy o tym mówili. I na pewno nie stworzyłem żadnej szkoły, jeśli chodzi o metody stosowane, dlatego że uczniów cechuje wielkie bogactwo różnych, całkowicie odmiennych metod. Trudno powiedzieć. To dopiero można będzie za kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat powiedzieć, czy uczniowie moi cechują się jakimś wspólnym światopoglądem naukowym, czy sposobem bycia. No, jeśli chodzi o ten ostatni element, to może stworzyłem rzeczywiście. W Zakładzie powstał pewien zespół ludzi, których łączy przyjaźń i mam nadzieję, że wzajemne zaufanie.

ZR: Muszę przyznać, że jestem trochę rozczarowany odpowiedzią Pana Profesora. To znaczy, może ona wynika ze skromności w tej wypowiedzi, natomiast kiedy przygotowywałem to pytanie, to właściwie uważałem, że to jest pytanie retoryczne, ponieważ uważam, że Pan Profesor stworzył taką szkołę. W związku z tym chciałem zapytać – jeżeli się zgodzimy, że taka szkoła istnieje, to czym ona się – Pana Profesora zdaniem – charakteryzuje. Właśnie tym poczuciem lojalności wzajemnej?

KD: No więc, stojąc na gruncie realizmu, można właśnie tymi pewnymi powiązaniem, to znaczy, że pomiędzy uczniami, czy ludźmi ze mną współpracującymi, powstała pewna więź osobistych stosunków. Wróćmy jeszcze do tego pierwszego pytania, bo

może z tym się trochę wiąże, że zajmuję się pewną tematyką. Otóż ja w latach pięćdziesiątych, właściwie w czasie Osiecznej, czy bezpośrednio po Osiecznej, może przed – już w tej chwili dokładnie nie pamiętam – otrzymałem zadanie. Miał być przygotowany ten sławny podręcznik geografii Polski i ja miałem napisać rozdział o geografii osadnictwa. I jak podejmowałem tę pracę, to stwierdziłem, że właściwie nie jestem w stanie tego rozdziału napisać, ponieważ nie wiem, czy nie mam zbadanych szczegółowo poszczególnych zagadnień z geografii osadnictwa. I wobec tego, że się tak wyrażę, podjąłem studia sam i przez swoich uczniów czy współpracowników, bo miałem jeszcze zawsze w ręku pewne inicjatywy; byłem koordynatorem takim czy innym różnych badań, więc podjąłem inicjatywę wypracowania, czy zbadania, pewnych pól geografii osadnictwa.

Zacząłem się od tych studiów nad małymi miastami, które były elementem szkolenia pierwszej kadry, a z drugiej strony – były tymi elementami, które jeszcze w warunkach stalinowskich, czy postalinowskich, można było prowadzić badania bezpośrednie, więc wyszedł ten tom studiów nad małymi miastami. Potem przeszliśmy do badania – z jednej strony – zasięgu małych miast i do badania zespołów osadniczych w małej skali. Potem żeśmy zajęli się zagadnieniami średnich miast; potem miała przyjść kolej na badania aglomeracji miejskich.

Już przy średnich miastach okazało się, że jeden człowiek nie potrafi zbadać jednego średniego miasta, tylko że potrzebny jest zespół, więc potem przyszło do badania aglomeracji. I tutaj muszę powiedzieć, że mój program, czy dążenia, nie spotkały się z pełną realizacją. Niemniej cały zespół studiów dotyczących aglomeracji się pojawił. Z układu takiego powstało zagadnienie systemów osadniczych. Ja zresztą to zagadnienie rozwoju tematyki z geografii osadnictwa, a w szczególności z geografii miast, opublikowałem. Jest taki artykuł opublikowany, dający przegląd, jak ta tematyka się rozwijała.

W tym czasie, jeżeli by wziąć te wszystkie prace, które związane były z realizacją tego mniej lub więcej świadomie zarysowanego programu, wziąć pod uwagę, no to można powiedzieć, że powstała pewna szkoła dotycząca geografii osadnictwa. Do tego by trzeba jeszcze dołożyć zagadnienie studiów z geografii ludności. Tak że na końcu

może właśnie dzięki temu, że zajmowałem się koordynacją badań, nawiązałem stosunki... Prawie wszyscy geografowie zajmujący się geografiami osadnictwa w Polsce współpracowali w taki czy inny sposób ze mną. Od tej strony można mówić o szkole, ale – moim zdaniem – to jest przesada mówić w tym przypadku o szkole. Jest w Polsce dobrze rozwinięta geografia osadnictwa, w której rozwoju jakąś rolę odegrałem. To chyba wszystko, co można powiedzieć na to pytanie.

ZR: Doszliśmy w ten sposób w jakimś sensie do formalnej organizacji badań i w związku z tym chciałem zapytać, czy uważa Pan Profesor, że formalna organizacja nauki wpływała na kierunki badań Pana Profesora. Jeśli tak, to w jaki sposób, czy w jakim kierunku?

KD: No oczywiście że wpływała, dlatego że jeżeli postawiono przede mną zadanie, czy ja się podjąłem jakiegoś zadania, no to musiałem je rozwiązać. Tu najbardziej typowym jest zagadnienie teorii regionalizacji. Profesor Leszczycki w związku z ukladami międzynarodowymi podjął to zagadnienie teorii regionu ekonomicznego, czy regionalizacji ekonomicznej, i na końcu na mnie spadło zagadnienie przygotowania całego materiału, a potem jakiegoś mniej lub więcej dołącznego sumowania materiałów, które napływały, czy poglądów, które były przedstawiane. Więc tu, można powiedzieć, wyraźny jest związek między tematyką badań naukowych a zadaniami. Podobnie zresztą w układzie geografii osadnictwa, z tym że geografia osadnictwa zawsze była najbliższa moim zainteresowaniom. Ostatecznie przecież doszedłem do geografii z urbanistyki i planowania miast, i zawsze chętnie do tej tematyki wracałem. Ale też w jakimś sensie ta tematyka była potem związana z zadaniami, z organizacją badań.

Tutaj oczywiście należałoby mówić coś na temat, czy można – i w jakim zakresie można i należy – organizować badania naukowe. Problem polega na tym, że... Jest rzeczą oczywistą, że nauka to nie jest wojsko i nie można wezwać do raportu uczestników i rozdać im zadania, i wymagać od nich wypełnienia tych zadań. W pracy naukowej musi być zawsze element uwzględnienia, co kto chce robić i co kto może robić. To jest ten szczególny element... i co kto potrafi robić. Koordynacja badań polega na tym, żeby

te zainteresowania indywidualne konstruować z jakimś sformułowanym programem potrzeb społecznych i je wzajemnie powiązać.

W koordynacji badań naukowych moje doświadczenie właściwie świadczy, że największym problemem, a równocześnie może najważniejszym problemem, jest eliminowanie badań niepotrzebnych, czy nie gwarantujących wyników. I tutaj musi się oczywiście podejmować dosyć czasami trudne decyzje. Rola organizacji badań naukowych jest więcej negatywna niż pozytywna. Pozytywna jest w tym sensie, że oczywiście ona pozwala pobudzić pewne badania, czy wywołać pewne badania. Ale na końcu program badań składa się z takich prac, jakie ludzie mogą i chcą zrobić.

ZR: I jakie im się pozwala, prawda?

KD: No więc ja muszę powiedzieć, że nigdy właściwie nie byłem w sytuacji, że bym komuś nie pozwolił robić pracy, która obiecywała wyniki. Znaczący, jeżeli pewne prace eliminowałem, to dlatego że one były źle prowadzone, że nie gwarantowały... Proszę Pana, zagadnienie etyki badacza jest też bardzo ważne. Niemniej z przykrością, ale trzeba powiedzieć, że są ludzie, którzy próbują wydostać pieniądze na to, żeby nic nie robić. To bardzo ostre powiedzenie, ale tak jest. Potem tacy ludzie zresztą mają największe pretensje i najczęściej mówią o tym, że im się nie pozwala prowadzić badań. Ja sądzę, że myśmy nawet robili pewne nadużycia w stosunku do przepisów prawnych, finansując badania, które nie mieściły się całkiem w ramach zadań naukowych, celów stawianych społecznie. Wracam do tego, że ja w moim życiu nigdy nie miałem poczucia, że bym odsunął, czy nie pozwolił prowadzić badań, które obiecywały wyniki, pozytywne wyniki badawcze.

Jest jedno zagadnienie, które mnie dużo kosztowało, bo opóźniło o osiem lat mój wybór na członka Akademii, że sprzeciwiłem się prowadzeniu badań terenowych geomorfologicznych bez podsumowywania. Znaczący, że w ramach I Kongresu rozwinęły się badania geomorfologiczne. One prowadziły do opracowania map geomorfologicznych. I w pewnym momencie te badania terenowe zaczęły być badaniami takimi, że się tak wyrażę, sztuka dla sztuki. To znaczący, że prowadzono badania, potem te badania nawet nie podsumowywano w postaci kartograficznej, tylko odkładano do akt i one się roz-

chodziły po prywatnych szufladach. Z tego nic nie wychodziło. I ja dosyć silnie ukróciłem. Powiedziałem: proszę bardzo, takie badania mogą być prowadzone, które prowadzą co najmniej do wykonania mapy. Równocześnie na to się nałożyło, że zaczął się odwrót od używania studentów do takich prac. Więc to nie była tylko moja decyzja, to był układ środowiskowy. W każdym razie w jakimś sensie odegrałem tę rolę obcinającego badania terenowe nie prowadzące do opracowań naukowych. O co zresztą profesor Klimaszewski zwłaszcza do dziś dnia ma wielkie pretensje do mnie.

ZR: Jak Pan Profesor ocenia swój udział w kształtowaniu oblicza geografii w Polsce? To znaczy zarówno z punktu widzenia instytucjonalnego, jak i intelektualnego?

KD: No, to jest już zagadnienie, które już inni muszą osądzać. Ja tylko mogę powiedzieć tak, że konferencja w Osiecznej była inicjatywą Kuklińskiego. Ja w niej wziąłem udział przez to, że opracowałem zagadnienie geografii osadnictwa. Ja potem podjąłem dwa razy inicjatywy takie scalające. Znaczący, w sześćdziesiątym bodaj siódmym czy ósmym roku doszło do tej konferencji w Jabłonie, która miała być otwarciem, czy zielonym światłem dla stosowania metod matematycznych w geografii. Jaką ona rolę odegrała, mnie jest trudno mówić. Raczej się o niej nie wspomina. Ale to było niby świadome założenie i w jakimś sensie dało jakieś rezultaty, takie czy inne. I drugi raz zainicjowałem konferencję w Osiecznej, gdzie chodziło o, że się tak wyrażę, wobec fermentu występującego wśród młodszych chodziło, żeby dać im pole do sformułowania, wystąpienia i sformułowania swoich poglądów. Równocześnie wyprowadzenia ich z pewnego takiego układu zniechęcenia, czy apatii po stanie wojennym.

ZR: Czyli mówimy o Rydzynie, Panie Profesorze?

KD: O Rydzynie. Przepraszam, nie o Osiecznej. Jakie ona dała rezultaty, trudno mi powiedzieć, bo na końcu odszedłem z Komitetu Nauk Geograficznych, przeszedłem do Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju.

ZR: Chciałem z kolei zapytać o sposoby wyboru problematyki badawczej. To znaczy, czy było tak, że Pan Profesor sam sobie wybierał problematykę, czy była ona, że tak powiem, narzucona. Czy był Pan skłaniany do tego, żeby się zająć pewną problematyką, czy z kolei Pan Profesor nakłaniał innych, czy narzucał im problematykę?

KD: Właściwie na to pytanie już odpowiedziałem. To znaczy, że – po pierwsze – problematykę dobierałem według swoich upodobań, a przypuszczam, że równocześnie przyjmowałem pewne propozycje zajęcia się pewną problematyką. To bardzo wyraźnie wystąpiło z tą regionizacją ekonomiczną. Równocześnie propozycje do mnie skierowane podjęcia pewnej problematyki były w jakimś sensie związane na pewno z oceną moich możliwości badawczych. Więc sprawa jest złożona. Ale nie mogę powiedzieć, że bym kiedykolwiek był rzeczywiście zmuszony do prowadzenia określonych badań.

ZR: Rozumiem, z tego co Pan Profesor powiedział do tej pory, że właściwie nigdy, czy prawie nigdy, nie było tak, że się komukolwiek narzucało problematyki badawczą...

KD: Tak. To znaczy, jeśli chodzi o mnie i moje środowisko. To nie było tak, żeby było jednoznacznie narzucane badanie. Raczej były elementy eliminacji, czy odwodzenia, odprowadzenia kogoś od tematyki, którą nie uważałem za nienajszczęśliwszą. W wypadku tych współpracowników, którzy robili prace doktorskie, to proponowałem im pewne tematy, względnie próbowałem określać, czy zawężyć – najczęściej zawężyć – tematy, które chcieli opracowywać.

ZR: Chciałem zapytać o zdanie Pana Profesora na temat tego, kto kierował rozwojem geografii polskiej. Czy było to tak, że istniała sobie po prostu korporacja uczonych, działająca na zasadach – w cudzysłowie przynajmniej – demokratycznych, czy jednak byli pewni liderzy, którzy kierowali rozwojem geografii? Pytanie jest trochę przewrotne właściwie, dlatego że w końcu domyślam się odpowiedzi. Ale bardzo proszę.

KD: Moim zdaniem, pytanie jest naiwne. To znaczy, że oczywiście, że przez długi okres czasu, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, dominującą osobowością w rozwoju geografii był profesor Leszczycki. To jest zupełnie jednoznacznie wiadomo. Równocześnie gdyby się z nim nie chcieli zespolić, czy współpracować inni, to do niczego by to nie doprowadziło. Było bardzo niewielu geografów, którzy pozostali poza zespołem, który się zajmował rozwojem geografii. Tak jest chyba do dziś.

Pod tym względem geografia jest w szczęśliwszym położeniu od innych nauk, że nigdy nie była rozdzielana na frakcje. Frakcyjność w geografii Polski prawie nie istniała w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Ja w tej chwili już może nie bardzo wiem, co się dzie-

je, co w trawie piszczy. Były pewne odpryski z tego zespołu geografów. Ale to nie były odpryski ważne, czy które by potrafiły stworzyć swoją własną koncepcję, czy własny kierunek badawczy. Bardziej podzieleni byli oczywiście geografowie fizyczni, ale w geografii ekonomicznej podziały były znacznie mniejsze, ale były.

Ale tutaj trzeba powiedzieć to, co już Panu kiedyś powiedziałem, zdaje się, w tych rozmowach, że profesor Leszczycki miał takie stanowisko, że jak nie jest pewny konia, to stawia na kilka koni. A poza tym, mnie się zdaje, że jednej jeszcze rzeczy się nie docenia u profesora Leszczyckiego. Profesor Leszczycki był bardzo wymagający, jeśli chodzi o stosunki ludzkie, o kulturę stosunków między ludźmi. Ja sądzę, że jedyne wypadki, w których profesor Leszczycki był w sposób ostry przeciwny, czy – jakby można powiedzieć – tępił pewnych ludzi, może nie zawsze nawet sprawiedliwie, ale to były zawsze wypadki, w których nie że ktoś miał inne poglądy naukowe, tylko że uważał, że nie zachował dobrego zwyczaju w stosunkach międzyludzkich. Mnie się zdaje, że tego ludzie nie doceniają.

A to właściwie była cała siła rozwoju geografii, że geografia właściwie nigdy nie była frakcyjna i że geografowie występowali jako zespół. Ja zresztą uważam, że w ciągu tych trzech lat, jak byłem przewodniczącym – drugi raz jak byłem przewodniczącym – Komitetu Nauk Geograficznych, usiłowałem temu zapobiec. Frakcyjność geografii polskiej, czy podziały w geografii polskiej, zarysowały się w tym, że część geografów tak się związała ze stosunkami zagranicznymi, że zaczęła rozluźniać swoje stosunki ze środowiskami krajowymi i, że się tak wyrażę, nastąpiła jakby pewna separacja między tych, którzy, że się tak wyrażę, działają w układzie krajowym, czy regionalnym. Geograf oczywiście na to, żeby się rozwijać naukowo, musi mieć dostęp i udział w życiu naukowym za granicą, równocześnie jednak powinien sobie zdawać sprawę, że się nie może odrywać od swojego środowiska, od ziemi. Tu jest może pewna krytyka niektórych kolegów, ale, moim zdaniem, to jest dosyć ważna sprawa. Z drugiej strony, ci koledzy, którzy działają w układach regionalnych, może powinni mieć więcej zaufania, czy nie powinni się boczyć z tego powodu, że inni jeżdżą za granicę.

Stosunek do układów tych stał się elementem dzielącym środowisko geograficzne. To jest zjawisko niebezpieczne, a równocześnie przecież geografia niesłychanie wzrosła. Porównajcie liczbę pracowników naukowych w dziewięćset pięćdziesiątym i obecnie. Zobaczycie, jak się rozrosła. Zresztą jednym z kłopotów obecnie geografii... polega na tym, że właściwie nastąpiła pewna stabilizacja w układzie stanowisk. Na końcu w okresie międzywojennym pracownicy wybitni, młodzi geografowie, musieli czekać na wymarcie, czy na przejście na emeryturę starszych profesorów. Można mówić o ujemnych zjawiskach okresu międzywojennego. Byli profesorowie, którzy nawet nie habilitowali swoich słuchaczy, bo nie chcieli mieć konkurentów, czy wyraźnych następców. No, ale byli tacy, co habilitowali, ale niemniej ci docenci musieli czekać na stanowiska.

Ja obawiam się, że my wchodzimy obecnie w podobny układ i tego się nie docenia. To znaczy, że na początku to była radosna twórczość. Tyle było stanowisk, ilu było pracowników naukowych. Potem zaczęło się troszkę ograniczać. Z końcem lat sześćdziesiątych przecież robiłem plany i się zakładało, że tam kadra wzrośnie w ciągu pięćciolecia o 10%, a wzrosła o 2%, czy coś takiego. Zaczął się element wyhamowywania takiego bujnego rozwoju. A teraz możliwe, że doszło nawet do całkowitego zahamowania, jakkolwiek niby wróży się, że będzie ten wyż na wyższych uczelniach w połowie lat dziewięćdziesiątych i że to może spowodować ponowny wzrost zapotrzebowania na kadre. W tej chwili jest bardzo wyraźna wymiana pokoleń, tak że w tej chwili nawet są braki kadrowe, wręcz nawet jest ponownie element przyśpieszenia awansu pracowników naukowych. Ale to jest jedno z takich zagadnień, o którym warto mówić. Moim zdaniem, sukcesem geografii polskiej była właśnie zespołowość i duży duch solidarności międzybranżowej, czy naukowej. Może to uległo w tej chwili zachwianiu i to jest ten element jakiegoś kryzysu, który można widzieć.

ZR: Ja chciałbym jeszcze powrócić do stwierdzenia Pana Profesora, że profesor Leszczycki stawiał w pewnym okresie równocześnie na kilku geografów fizycznych. Moje pytanie jest takie: czy nie była to próba przeciwdziałania tej frakcyjności, o której mówiliśmy przed chwilą?

KD: No, można i tak powiedzieć. Sprawa polega na tym, że te podziały wśród geografów fizycznych wiązały się jednak z indywidualnościami naukowymi. Jest wiadomą rzeczą, że profesor Jahn i profesor Klimaszewski się nie lubią, że profesor Klimaszewski nie lubił profesora Dylika, a Dylík – profesora Klimaszewskiego, ale każdy z nich stanowił indywidualność naukową. Tak że może Pan powiedzieć – z jednej strony – że to była świadoma polityka profesora Leszczyckiego, ale to było narzucone sytuacją.

ZR: Właśnie; nasuwa się pytanie, czy to nie była realizacja zasady *divide et impera*.

KD: Nie, nie, nie. To tak nie można powiedzieć. Właściwie autorytet, czy pozycja profesora Leszczyckiego nigdy nie była poważnie kwestionowana. Ja bym tutaj nawet poszedł dalej; profesor Leszczycki miał pewną pozycję polityczną i geografowie – ze względu na profesora Leszczyckiego... im wygodnie było, że jest taki geograf, który zajmuje pozycję polityczną, a który nie krępuje ich. Znaczą, że tutaj sprawa polegała na tym, że nie mieli ochoty sami zajmować się polityką i było wygodnie im, że mieli człowieka, który ich w jakimś sensie osłaniał. A ponieważ zarysowały się pewne indywidualności alternatywne, jeśli chodzi o politykę... Indywidualności polityczne oczywiście nie miały ciężaru gatunkowego naukowego, więc nie były w stanie rozbić tego układu, a – z drugiej strony – były całkowicie nieatrakcyjne.

ZR: Rozumiem, że nie będziemy mówić o nazwiskach...?

KD: Ja zdaję sobie sprawę, że Pan myśli o jednym nazwisku; ja bym mógł przytoczyć kilka – więcej niż jedno nazwisko.

ZR: Dobrze; skoro ten temat możemy uznać za wyczerpany, wobec tego przejdźmy może do osiągnięć i niepowodzeń. Chciałem mianowicie zapytać, jakie – zdaniem Pana Profesora – jest największe Pana Profesora dzieło, czy osiągnięcie. To znaczą, myślę tutaj o książce, ale – być może – nie jest to książka, tylko co innego – program badawczy? Jak to Pan Profesor ocenia?

KD: To jest zagadnienie, na które trudno odpowiedzieć. Znaczą, że przecież, kiedy coś robię, to wydaje mi się, że to jest moje największe osiągnięcie, bo na tym koncentruję swój wysiłek, a potem z perspektywy lat patrzy się trochę inaczej na to zagadnie-

nie. Ja sędzę, że jeśli by tak próbować sądzić – co zresztą jest bardzo wątpliwe – to moim największym osiągnięciem było, że w całym szeregu wypadków zainicjowałem pewne kierunki badań, czy pewne ujęcia, które może nawet lepiej były rozwinięte przez innych później. Ja zresztą nigdy się nie dopominałem o uznawanie tego autorstwa, czy tej inicjatywy, ale – że się tak wyrażę – może największym moim osiągnięciem było to, że miałem drożdże.

ZR: Wobec tego spójrzmy na drugą stronę medalu. W związku z tym chciałem zapytać, czy jest takie opracowanie, pod którym Pan Profesor teraz by się nie podpisał. I – ewentualnie – jeśli tak, to dlaczego? Czy wynika to ze zmiany poglądów naukowych, czy może ideologicznych, czy metodologicznych? Czy jest takie opracowanie?

KD: Nie, ja nie sędzę. Jakby ktoś był złośliwy, to by mógł wyciągnąć pewne opracowania. Ale ja uważam, że to opracowanie w swoim czasie odegrało pewną rolę. Oczywiście ono jest szalenie schematyczne. To jest ta „Geografia miast i osiedli”. Taka popularna, wydana w Wiedzy Powszechnej. Ale jedyną rzeczą, która tam mnie drażni, to jest to, że wydawnictwo dopisało w jednym miejscu jedno zdanie, że kiedy ja napisałem tam, że Warszawa została wyzwolona przez wojska radzieckie, to tam dopisano: „przez niezwyciężone”.

ZR: ... niezwyciężoną Armię Radziecką.

KD: Tak, niezwyciężoną, najlepszą i tak dalej.

ZR: Przypuszczam, że inteligentny czytelnik domyśli się, że to...

KD: No, nie wiem, czy się domyśli. Więc oczywiście to mnie drażni, że to jest pod moim nazwiskiem, ale z drugiej strony samej książki nie mam się specjalnie powodów wstydzic. Taki był etap. Książka była pewnym posunięciem naprzód. Oczywiście nie była żadnym wielkim dziełem naukowym.

ZR: Czy chętnie pisywał Pan Profesor z innymi osobami jako współautor? Jeśli tak, to czy chętniej z mistrzem – to znaczy, mistrza właściwie nie było – czy z kolegami, czy raczej z uczniami?

KD: No więc ja mam dwa elementy. To znaczy, że tu są dwie różne rzeczy, to znaczy, że kilkakrotnie wystąpiłem w takim zespole ludzi ze mną współrzędnych i to wła-

ściwie było sumowanie opracowań niezależnych. Zresztą to opracowanie sobie bardzo cenię i fakt, że występuję jako jeden w zespole autorskim, bardzo miłe to wspominać. Nawet uważam, że to mi przynosi zaszczyt. Mam opracowania wspólne z profesorem Gieysztozem i Herbstem, potem opracowania z profesorem Andrzejewskim i Goryńskim wspólne. Ostatnio z profesorem Andrzejewskim i Kołodziejewskim. Ale to są układy współrzędne, to znaczy, że właściwie to jest opracowanie pisane wieloczęściowo, potem tylko scalane w jedno opracowanie. Natomiast druga współpraca, to jest współpraca z uczniami. Otóż mój ojciec mnie tego nauczył, że jeżeli ja publikuję jakąś pracę i korzystam z pracy mojego ucznia, to wymieniam jego autorstwo, albo biorę go nawet na swojego współpracownika; to znaczy, że publikujemy pod wspólnym autorstwem. Mój ojciec tego bardzo ostro przestrzegał. Tak że jak by Pan zobaczył bibliografię prac mojego ojca, to by Pan prawie nie zobaczył po doktoracie prac podpisanych jednym nazwiskiem. Muszę powiedzieć, że ja starałem się to przekazać moim uczniom. Ja tego przestrzegałem i starałem się przekazać swoim uczniom. I nawet muszę powiedzieć, że z Kosińskim stoczyłem pewien bój w tym zakresie.

ZR: Zwycięski, jak myślę...?

KD: No nie; zwycięski. Po czym on mi dziękował za to, bo to była sprawa materiałów opracowanych przez panią Palonkę w tym tomie „Ludność Polski”. I skutkiem tego, ponieważ ona się okazała, że była niesolidną pracowniczką, to to, że on był wymieniony, że to ona opracowała, zdejmowało z niego odium za błędy, jakie tam niewątpliwie są. Postępowanie takie jest, że – po pierwsze – nie wolno przywłaszczać cudzej pracy, z drugiej strony – to jest zabezpieczenie siebie przed złą pracą innych.

ZR: Czy nie sądzi Pan Profesor, że jest to jednocześnie – czy może być – forma promocji ucznia przez mistrza? Że praca wspólna, czy podpisana wspólnie przez mistrza i ucznia, może być formą promocji ucznia przez mistrza?

KD: No niewątpliwie... Niewątpliwie to jest wprowadzenie ucznia w publikacje i w prace naukowe. Mnie tego nauczył mój ojciec i ja uważam, że to jest bardzo zdrowa tradycja. To znaczy, że wszystkim raczej bym radził tego przestrzegać.

ZR: Wobec tego, jak Pan Profesor ocenia dopisywanie się mistrzów do prac uczniów? Znaczy, niekoniecznie musi być to mistrz w sensie merytorycznym. Może to być mistrz w sensie formalnym.

KD: Tutaj oczywiście trzeba być dosyć obiektywnym. Znaczy, na pewno jest niewłaściwe, żeby mistrz podpisywał pracę, której nie robił. Natomiast uczniowie czasami nie doceniają wkładu profesora. Znaczy, że w takiej spółce nie tyle mistrz, co nauczyciel – uczeń jest różny wkład. Jest inicjatywa, koncepcja, metody, krytyczna ocena. I on ma prawo do tego, żeby to było uwidocznione. Oczywiście to już jest zagadnienie sumienia naukowca, zarówno mistrza jak ucznia, w jakim stopniu to odpowiada rzeczywistości. Współautorstwo musi być związane z rzeczywistością. W wypadku tej jednej sprawy, o której mówiłem, to tam ona nie jest wymieniona jako współautorka pracy, tylko jest wymieniona jako autorka opracowań statystycznych. Można i tak dzielić. Natomiast to jest zagadnienie etyki pracownika naukowego, zarówno ze strony nauczyciela, jak i ze strony ucznia.

ZR: Jak Pan Profesor ocenia prace zespołowe? Czy – zdaniem Pana Profesora – te prace wnoszą więcej do rozwoju pracowników naukowych niż prace indywidualne? Znaczy, tu są niewątpliwie dwa elementy: praca zespołowa rozumiana jako tok pracy i praca zespołowa rozumiana jako publikacja.

KD: Zagadnienie publikacji to już wyjaśniłem. Zagadnienie pracy zespołowej to są tematy, których nie można opracować inaczej niż w pracy zespołowej. To zależy troszkę od tematu. Zależy od indywidualności również. Są jednostki, które potrafią współpracować naukowo, są jednostki, które nie potrafią współpracować naukowo. Ja sądzę, że tu nie ma żadnych praw. To znaczy, jeżeli są jakieś regularności, czy jakieś typowe wypadki, to one się wiążą z zagadnieniem kształcenia kadr, z zagadnieniem tematyki, jaką się podejmuje. Sprawa polega na tym, że przy dużej złożoności metod i pracochłonności zbierania materiałów praca zespołowa staje się nieunikniona. Natomiast jest rzeczą ważną, żeby wszyscy uczestnicy dobrze sobie zdawali sprawę ze swojej roli w zespole. Tylko to może gwarantować harmonijną pracę.

ZR: To tyle, jeśli chodzi o osiągnięcia. Natomiast na zakończenie tej części chciałbym zapytać o niepowodzenia. Mianowicie, czy są jakieś plany czy to badań, czy programów badawczych, czy w sferze zarządzania nauką, których Panu Profesorowi nie udało się zrealizować?

KD: O, bardzo dużo. I to jest zresztą może nawet typowe, że jak człowiek zaczyna, to buduje bardzo wielkie plany, których potem tylko część zostaje zrealizowana. Więc to jeżeli chodzi o większe koncepcje. A niezależnie od tego, w swoim życiu mam cały szereg prac, których albo nie dokończyłem, albo nie opublikowałem, albo w ogóle nie wyszedłem poza zbieranie materiałów. Jeśli Pana to interesuje mogę Panu tak krótko o takich pracach wspomnieć.

ZR: Bardzo proszę.

KD: W roku '39 przygotowałem na prośbę redakcji „Domu – Osiedla – Mieszkania” artykuł o miastach-ogrodach w Anglii. Ta praca zaczęła mi się rozrastać i oni się nawet zgodzili, że to nie będzie artykuł, tylko że to może powstać z tego broszura, którą by oni wydali. Potem jak byłem w Nowym Jorku we wrześniu '39 roku i nie miałem co robić, i taki jeden z ówczesnych prominentów Polonii amerykańskiej powiedział: „niech Pan chodzi do biblioteki publicznej w Nowym Jorku”. Biblioteka publiczna w Nowym Jorku jest jedną z największych bibliotek, jaka jest w Stanach Zjednoczonych. Jest znakomicie zaopatrzona. I rzeczywiście chodziłem tam i ta praca zaczęła coraz bardziej rosnąć. Tam znalazłem literaturę, która nie była dostępna w Polsce, no i doszedłem do stu stron rękopisu. Rękopis został w Stanach Zjednoczonych i zaginął, i nigdy nie został zakończony. Losy wojenne i moje się potoczyły innymi drogami.

W latach pięćdziesiątych miałem napisać po „Geografii przemysłu” czy „Zasady lokalizacji przemysłu”, miałem napisać drugą pracę o usługach. I ją napisałem. Nie znalazła zrozumienia, czy dodatniej oceny, w rękach recenzenta, po czym...

ZR: Przepraszam, która część lat pięćdziesiątych to była?

KD: No, to było '51-52. Wobec czego miałem konsultacje z takim ekonomistą marksistowskim i napisałem drugą wersję tej pracy. I ta druga wersja też nie znalazła ten... Obie wersje mam zachowane, ale nie ukazały się drukiem. Może zresztą dla mnie

dobrze; czy ja wiem? Może znowu nie, bo tam pewne takie koncepcje były. To nie była taka praca całkiem popularnonaukowa. Cała trudność polegała na tym, że nikt nie miał żadnej teorii usług. Marksisci nie mieli teorii usług, bo się zawsze mówiło o produkcji. No więc w tym leżała trudność. A równocześnie w tym była jej oryginalność. W każdym razie rękopis leży gdzieś i można by do niego kiedyś zajrzeć, ale przypuszczam, że nie warto. To jest typ pracy określonego okresu.

Ja chciałem napisać trzy prace, trzy monografie: o bazie funkcjonalnej, o rozkładach kolejności według wielkości i o teorii osiedli centralnych – jako o tych trzech głównych osiągnięciach teoretycznej geografii osadnictwa. Więc pierwsza wyszła drukiem, nawet w dwóch wydaniach, z pewnymi błędami. Druga była napisana w dwóch częściach, potem przyszły inne elementy. Poza tym zaczęła się mnożyć strasznie. Ona się zaczęła strasznie rozrastać i w jakimś sensie doszedłem do przekonania, że jest ponad moje siły. Tak czy inaczej leży taki nie dokończony rękopis, częściowo nawet przepisany na maszynie. Dzisiaj nawet do tego nie można wrócić, bo tę pracę trzeba by zacząć od początku. Tutaj ilość literatury jest taka olbrzymia, że może...

Potem miała być trzecia – teoria ośrodków centralnych, do której nawet się przymerzałem kilka razy, ale tu też literatura jest tak olbrzymia, że napisać dobrą pracę na ten temat... Bo to są prace takie dające historię pewnej koncepcji, czy pewnej idei. Okazało się, że jest ponad moje siły i odłożyłem ją. Jest tylko teczka materiałów dosyć duża, jest bibliografia zestawiona.

Tak że prac niedokończonych... To jest nieuniknione, że człowiek w swoim życiu podejmuje prace, których potem nie może zakończyć, nie wszystkie może zakończyć. To, że się pewne udało zakończyć, to jest sukcesem. Nie należy specjalnie rozpaczać, bo i tak te prace może nie były takie znakomite, jak się wydawało, że będą.

ZR: Na tym zakończylibyśmy część pierwszą, to znaczy dotyczącą bardziej osobistej części opowieści Pana Profesora i teraz moglibyśmy przejść do drugiej, to znaczy tej bardziej ogólnej. Chciałem zacząć od pytania, czy sądzi Pan Profesor, że istnieją związki kierunków badawczych w geografii z przemianami polityki państwowej i zmianami ideologicznymi.

KD: Proszę Pana, może istnieją pewne związki, ale one muszą być wieloczasowe. To znaczy, nie można oczekiwać, że jeśli nastąpi zmiana polityczna – u nas następują zmiany dosyć gwałtownie te zmiany polityczne – że zaraz potem nastąpi zmiana w nauce. Dojrzewanie zmian jest powolne. Czasami zmiany w nauce wyprzedzają zmiany polityczne. Związki są, ale związki nie są jednoznaczne. Trudno jest na ten temat coś mówić. To nie jest teoria, to jest historia.

ZR: Więc właśnie chciałem tutaj troszeczkę teraz pomęczyć Pana Profesora o te pytania z historii geografii w gruncie rzeczy. Mianowicie chciałem zapytać, jaką – Pana Profesora zdaniem – rolę odegrał w kształtowaniu oblicza geografii zjazd PTG w Gdańsku w '49 roku? O tym się dużo mówi, nasze pokolenie wie o tym z drugiej ręki...

KD: Ja wiem. Tylko że zjazd PTG w Gdańsku odbył się, jeszcze zanim ja wszedłem w pełni w obręb geografii. Więc dla mnie zjazd gdański nie ma żadnego znaczenia. [...]

ZR: Dobrze. W takim razie, potem, to znaczy po dwóch latach, był Pierwszy Kongres Nauki Polskiej. W tym już Pan Profesor uczestniczył?

KD: Tak jest.

ZR: Jaka w takim razie była jego rola?

KD: No, proszę Pana, Pierwszy Kongres, jeśli chodzi o geografów, doprowadził do sformułowania pewnego programu badań. To nie był program badań państwowy, tylko to był program badań sformułowany przez geografów. Ja zresztą jeszcze wtedy brałem udział w Kongresie, ale ja brałem udział więcej w Kongresie dotyczącym planowania przestrzennego i regionalnego, trochę nawet ekonomii, to znaczy lokalizacji przemysłu, niż geografii. Ja jeszcze nie byłem wtedy w pełni zintegrowany ze środowiskiem geograficznym, ale brałem udział. To znaczy, miałem nawet te wszystkie materiały. Więc Kongres Nauki od tej strony stworzył taki jakiś racjonalny program rozwoju badań geograficznych. Zwłaszcza w geografii fizycznej.

ZR: A w społeczno-ekonomicznej?

KD: W geografii ekonomicznej może słabszy – z tego względu że w tym momencie geografia fizyczna była znacznie silniejsza od geografii ekonomicznej. Kongres Nau-

ki stworzył podstawy do istnienia Akademii Nauk. Nie należy zapominać, że profesor Leszczycki był zastępcą sekretarza naukowego Akademii przez sześć lat, czy ileś. I to umożliwiło stworzenie Instytutu Geografii Akademii. No więc w tym sensie też miał jakąś zasadniczą rolę dla geografii. Chyba tyle mogę powiedzieć.

ZR: Twierdzi się, że właśnie w tym okresie – być może na Pierwszym Kongresie Nauki, być może trochę wcześniej – zaczęto wprowadzać do geografii marksizm – rozumiany oczywiście w dosyć specyficzny sposób. Profesor Leszczycki w swoim podsumowaniu po latach, to znaczy w artykule, który się ukazał w „Przeglądzie” w ’79 roku, napisał na ten temat następująco: „Zapanowała ogólnie filozofia marksistowska, która wyznaczała granice indywidualności, zobowiązywała do szukania rzeczywistości. [...] Przeszto wątpić o konieczności wiązania problematyki z celami praktycznymi, toteż wszyscy odnieśli się pozytywnie do celów i zadań geografii stosowanej”. Czy można Pana Profesora prosić o komentarz?

KD: To nie jest sformułowanie, z którym się specjalnie gwałtownie nie zgadzam, ale równocześnie to jest sformułowanie subiektywne profesora Leszczyckiego. Moim zdaniem, to nie jest temat, który należy specjalnie dyskutować. To nie jest temat owocny. Ja sądzę, że deklaracja marksizmu w geografii nastąpiła w Gdańsku, nie na Kongresie. Na samym Kongresie na ten temat było bardzo mało mowy. Była dyskusja właśnie, czy robić mapę geomorfologiczną. Może najbardziej bym się zgodził z tym, że Kongres Nauki i marksizm ostatecznie przełamał opory geografów zajmowania się zagadnieniami geografii stosowanej.

Zna Pan tę anegdotyczną historię, jakkolwiek są zdania podzielone, kto wyraził tę opinię, że profesor Leszczycki w ’39 roku, czy w ’38, złożył jako pracę habilitacyjną swoją pracę o regionie Podhala. Według tego, co mi mówiono, to był Romer; ktoś inny twierdzi, że to kto inny był, że tę pracę oddalono, twierdząc, że praca habilitacyjna nie może mieć żadnych zastosowań praktycznych. Więc to troszkę jest duch okresu międzywojennego. Notabene nie można powiedzieć, żeby Romer nie zajmował się zagadnieniami zastosowań geografii. Ktokolwiek zapozna się z dorobkiem Romera, ten wie, że on cały czas się zajmował zagadnieniami zastosowań. I oczywiście to ilustruje tę

zmianę poglądów. Jeśli to były osiągnięcia marksizmu, no, to to jest zasługa marksizmu. Jeśli to była zmiana wywołana zmianami w społeczeństwie i potrzebami społecznymi... Proszę pamiętać, że w roku '45 wszystkie placówki geograficzne na uniwersytetach były rozbite. Je z trudem rekonstruowano. Geografowie byli pozbawieni warsztatów naukowych. Równocześnie potrzeby odbudowy kraju były bardzo duże. Wobec tego wszyscy prawie najwybitniejsi geografowie, prawie wszyscy, przeszli przez regionalne urzędy planowania przestrzennego. Leszczycki był dyrektorem w Krakowie, Uhorczak był w Katowicach, Galon był w Bydgoszczy. Może nawet Dylik był w Łodzi, to już tego nie pamiętam dokładnie. Ale w każdym razie powiązania geografów z urzędami odbudowy kraju były bardzo silne. Tak samo zresztą jak powiązania z zagadnieniami przygotowania, czy opanowania, nowego terytorium Polski, ustalenia granic. To życie już w jakimś sensie nauczyło... Można powiedzieć, że to również marksizm, że się tak wyrażę, kanonizował tę zasadę. Ale czy to specjalnie zasługa marksizmu? Tego nie wiem. Marksizm był właściwie... Właściwie nie marksizm, tylko partia ma jedną zasługę, że zmusiła geografów do uczenia się ekonomii politycznej, zajęcia się zagadnieniami ekonomicznymi i społecznymi *sensu stricto*, a nie rozważania zagadnień geografii społecznej jako takie zjawiska same w sobie.

ZR: Chciałem z kolei zapytać o atmosferę lat pięćdziesiątych w geografii w szczególności, a w nauce w ogólności. Proszę powiedzieć, jak się wtedy pracowało, tzn. kto decydował o tematyce badań na przykład.

KD: To ja już właściwie odpowiedziałem przy sobie. Były pewne tematy proponowane, ale na końcu każdy pracował w takim temacie, w jakim chciał pracować. Ja nie znam takich wypadków, żeby kogoś zmuszono do opracowania pewnych elementów. W latach pięćdziesiątych pojawiła się ta grupa poznańska pod wodzą Kuklińskiego. Do niej należał Chojnicki, Najgrakowski, Grzeszczak – z nimi Pan może rozmawiać. Oni byli dosyć tacy aktywni. Oni, że się tak wyrażę, przyjęli sobie Leszczyckiego jako swojego mistrza, czy opiekę, wytworzyli sobie niszę pod jego opieką i byli dosyć dynamiczni. Rozpoczęli pewne prace i prowadzili. Z nimi może Pan mówić więcej na temat atmosfery, jaka panowała.

ZR: Dobrze. Natomiast, jeśli można poruszyć ten wątek, to chciałem zapytać o rzecz bardziej osobistą. Mianowicie był to okres stalinizmu, jak wiadomo. Pan Profesor pracował wtedy w Komisji Planowania i to na stanowisku nie takim bardzo niskim. Z drugiej strony przecież przyjechał Pan zaraz po wojnie z Zachodu. Czy nie było żadnych wątpliwości oficjalnych co do tego, że Pan był na Zachodzie, a nie tam gdzie uważano, że trzeba było być?

KD: Na ten temat nie należy się mnie pytać. Natomiast mogę Panu tylko jedną rzecz powiedzieć. Ja w okresie stalinowskim nie piastowałem żadnego stanowiska administracyjnego. W Komisji Planowania byłem, ale byłem radcą ministra, to znaczy, że miałem charakter doradcy, czy eksperta. Pod tym względem można powiedzieć, że uszedłem cało z tych elementów... No, swoje przeżycia pewne miałem, ale nie chciałbym o nich mówić specjalnie.

Głównym człowiekiem był Józef Zaremba, który zajmował się planowaniem przestrzennym. I on był tym człowiekiem politycznym. A on należał do grupy woldenberczyków i był związany z pewną grupą ludzi, którzy nawet przeszli bardzo boleśnie. To właśnie generał Kuropieska, generał Herman i jeszcze inni. On był z nimi związany. Wobec tego jego w roku pięćdziesiątym usunięto z Komisji Planowania, a koło niego chodzono, że się tak wyrażę, szukając materiału do atakowania, czy do uwięzienia, czy może do procesu. Przerzucono go do drobnej wytwórczości, ale jakoś się obronił. To znaczy, że nie wszedł w układ aresztowanych, czy więzionych; procesu nie miał. Wobec tego chodzono i wokół nas. No więc ja muszę powiedzieć, że miałem szczęście w pewnym sensie, że nie znalazłem się w tym gronie. Jakkolwiek wiadano, że ja blisko współpracuję z Zarembą, to nie znalazłem się w tym gronie najbardziej podejrzanych, to znaczy nie spotkały mnie takie represje. To już zresztą historia innych. Tutaj losy ludzi były indywidualne. Można powiedzieć, że przeszedłem stosunkowo szczęśliwą ręką przez okres stalinizmu. Więcej Panu nie powiem. Pod jednym względem miałem nosa. To znaczy, że nie zgodziłem się na przyjęcie żadnych stanowisk odpowiedzialnych, a z pewnych rzeczy się wycofałem. To znaczy, wycofałem się ze studium planowania przestrzennego we Wrocławiu. I zlikwidowałem je w roku pięćdziesiątym, bo

doszedłem do przekonania, że właściwie nie ma szans na prowadzenie, a równocześnie dojeżdżanie do Wrocławia z Warszawy mnie bardzo zmęczyło.

ZR: Wróćmy może w takim razie do tego nurtu bardziej obiektywnego. Chciałem zapytać, czy w latach pięćdziesiątych redakcje dopisywały części ideologiczne do artykułów, czy cytaty z klasyków. Wspomniał Pan Profesor, że w jednym wypadku tak było.

KD: Ale nie redakcja. Znaczy, to raczej już tak na szczeblu...

ZR: Cenzura?

KD: Cenzura, czy na szczeblu wydawnictwa. Jeśli chodzi o redakcje naukowe, to nie znam takich wypadków. Były elementy autocenzury. Proszono autorów, żeby zmodyfikowali, czy nie umieszczali pewnych części. Ja Panu mówiłem, że chodziło o obronę instytucji i czasami danego człowieka.

ZR: Ale to chodziło o wycofanie pewnych rzeczy. Natomiast mnie chodzi o to, czy skłaniano autorów do tego, żeby pewne rzeczy dopisali, to znaczy cytaty ze Stalina na przykład.

KD: Nie znam takich... Znaczy, może były takie wypadki. Ja nie miałem takich wypadków.

ZR: Czy w latach pięćdziesiątych pisywał Pan Profesor do szuflady? Czy pisywano do szuflady wtedy?

KD: Nie mogę odpowiedzieć. Możliwe, że ktoś pisał. Ja nie pisałem.

ZR: Czy w geografii zdarzały się samokrytyki w latach pięćdziesiątych?

KD: No, nie znam takiego wypadku. To znaczy, że może były, ale ja nie znam.

ZR: Czym było dla Pana Profesora powołanie Instytutu Geografii PAN w roku '53 i przywrócenie wydawania „Przeglądu Geograficznego”?

KD: No, proszę Pana, dla mnie to było znalezienie stałej posady. Znaczy, posady nie tyle stałej, co pewnej – w jakimś sensie. Ja byłem w tej Komisji Planowania na stanowisku tego doradcy; nie bardzo byłem z tego zadowolony. I równocześnie, jak mówiłem o tym już przedtem, starałem się o katedrę w Krakowie. Urbanistyki. Z tego nic nie wyszło. Że się tak wyrażę, architekci mnie odtrącili, skutkiem tego byłem łatwym łupem

dla profesora Leszczyckiego. Chętnym łupem dla profesora Leszczyckiego. Profesor Leszczycki załatwił mi sprawę nominacji na profesora. Z tym że, skutkiem tego że byłem w Komisji Planowania, to... Bo formalnie ja nie należałem do tych pierwszych pięciu czy dziesięciu osób, które dostały etat. Profesor Kostrowicki należał od samego początku. Ja jestem z opóźnieniem trzech czy czterech miesięcy, jeśli chodzi o formalne przyjęcie do pracy.

Natomiast trzeba jedną rzecz powiedzieć. W '55 roku mnie zaproponowano, że bym został wicedyrektorem Zespołu Planów Perspektywicznych w Komisji Planowania. I po naradzie z Leszczyckim ja się na to zgodziłem. I to był pierwszy etap już, proszę Pana, Października. To znaczy, że ludzie liczą od października, ale właściwie przełom nastąpił z końcem '54 roku, a w '55 była ta reorganizacja Komisji Planowania; zaczęła się. To znaczy, zaczęło się przygotowywanie reorganizacji w Komisji Planowania. Ja potem jeszcze na pięć lat wróciłem do Komisji Planowania, będąc na dwóch etatach. Znaczy, i w Instytucie, i w Komisji Planowania. To było dosyć niespodziewane, w jakimś sensie zabawne. Ale w '56 roku ja, jak wróciłem z wakacji, to zastałem taką sytuację, że mój bezpośredni zwierzchnik, dyrektor Zespołu Planów Perspektywicznych, wyjechał na objazd krajów socjalistycznych na sześć tygodni, czy na dwa miesiące, i ja zostałem z całym zespołem niespodziewanie. Odpowiedzialny za cały zespół. I w tym okresie przygotowywano następny plan pięcioletni. I znalazłem się, że się tak wyrażę, w roli redaktora tego planu. Tak że przez ileś tam miesięcy niemalże nocowałem w Komisji Planowania. Brałem udział w – że się tak wyrażę – najrozmaitszych konwentykach. To wszystko było przed Październikiem. Tak że zobaczyłem wielkich naszego świata w bezpośrednim zetknięciu. Z triumfem zawiozłem do Sejmu, czy zawieźliśmy do Sejmu, we wrześniu '56 roku projekt planu pięcioletniego. Potem wrócił mój szef i ja pojechałem na konferencję historyczną urbanistyczną do Niemiec Wschodnich, do NRD; i to był październik '56 roku.

ZR: I okazało się, że ten cały plan zrobił się trochę jakby nieaktualny.

KD: No, przerabiali go. Nie, taki bardzo nieaktualny nie był, ale przerabiali go. Tak że to był jedyny moment w moim życiu, gdzie, że się tak wyrażę, byłem wmieszany

od strony urzędniczej, czy administracyjnej, w wielką politykę gospodarczą. Gospodarczą!

ZR: Chciałem teraz przejść do Osiecznej i zapytać Pana Profesora, na czym polegało znaczenie konferencji w Osiecznej.

KD: No, ja sądzę, że polegało na tym, że nastąpiło przypomnienie i uporządkowanie wiedzy geograficznej, i nastąpiło przywrócenie ciągłości myśli geograficznej. Te dwa zeszyty „Przeglądu Geograficznego” to jest dokument Osiecznej.

ZR: Jak z kolei, zdaniem Pana Profesora, wpłynął Październik '56 roku na rozwój geografii? To znaczy, Październik rozumiany jako symbol oczywiście.

KD: Osieczna była przed Październikiem. Ja właśnie podkreślam, że właśnie zmiany w Polsce zaczęły się gdzieś w '54-55 roku. Tego się nie docenia. One potem, że się tak wyrażę, wypadki poznańskie, a potem Październik, je skryształizowały, czy wyrzuciły na zewnątrz. Ale zmiany już głębokie zachodziły. Przełomem właściwie była ucieczka Światły. Ucieczka Światły była związana z tym, że on był związany z Berią. On się przestraszył i uciekł. I potem opowiadał prawdziwe i nieprawdziwe rzeczy na temat stosunków w Polsce.

ZR: To znaczy bardziej z Berią niż z Bermanem?

KD: A no oczywiście że z Berią, nie z Bermanem. Proszę Pana, system stalinowski polegał na tym... To był system. System polegał na tym, że wszyscy żyli w terrorze. Raz byli narzędziami terroru w stosunku do drugich, a z drugiej strony sami byli przedmiotem terroru ze strony swoich mocodawców. Zresztą niech Pan przeczyta przemówienie Bermana. Nie wspomnienia, tylko przemówienie na tym plenum październikowym. To on przecież tam wyraźnie mówi, że on się bał.

ZR: Czytałem. Natomiast muszę przyznać, że kiedy to czytałem, to z pewnym przekąsem przyjąłem jego oświadczenie – jako próbę uwolnienia się od odpowiedzialności. Nie jako szczere wyznanie.

KD: Pan myśli o tej Torańskiej, tak? O tym „Oni”, o tej książce?

ZR: Nie, myślę o przemówieniu Bermana w '56 roku.

KD: No, ja wiem, ale jest jeszcze jego rozmowa z Torańską.

ZR: A, nie, nie; nie o tym mówię.

KD: To jest w drugim obiegu. To teraz wyszło na Zachodzie pod tytułem „Oni”. Proszę Pana, muszę Panu powiedzieć, że profesor Leszczycki jednak, jak miał coś załatwić, to załatwiał przez Bermana. Znaczący, był człowiekiem, z którym można było rozmawiać. To też o czymś świadczy, że profesor Leszczycki poszedł na pogrzeb Bermana.

ZR: To było w którym roku?

KD: Dwa lata temu, czy rok temu. Więc Berman żył na przykład i opiekował się Hryniewieckim, tym architektem. Jemu zawdzięczamy Stadion Dziesięciolecia. We wszystkich tych sprawach trzeba być dosyć ostrożnym. Bo tu jest taki układ, że Pan zwierzchnika bezpośredniego widzi jako coś, co decyduje, a nie widzi Pan, co jest za nim. Właśnie tego całego aparatu i systemu terroru Pan nie widzi.

Niewątpliwie Berman był pewnym narzędziem. Ale wszyscy byli w takim czy innym układzie narzędziami. On sobie z tego zdawał sprawę, w jakimś stopniu był takim narzędziem. To jest system terroru. To trzeba dobrze zrozumieć ten element. Dlatego trzeba być dosyć ostrożnym z potępieniem ludzi. Jednoznacznym potępieniem. Bo na końcu oczywiście ktoś przyjmuje pewną odpowiedzialność za coś. Niewątpliwie, jeżeli już o tych sprawach mówimy, to Bierut przyjął odpowiedzialność za tych pewnych ludzi, którzy stracili życie, którzy zostali rozstrzelani. Równocześnie w Polsce nie było procesu Rajka ani Slanskyego i Bierut był najbardziej ludzki z nich wszystkich, z wszystkich przywódców tego czasu. Tak jak kiedyś powiedziałem, że z Bierutem to się historia łagodnie obejdzie. I zresztą dosyć ciekawe, że Wyszyński o Bierucie w swoich tych zapiskach więziennych pisze bardzo łagodnie.

ZR: Z pewnym przekąsem...

KD: No, ale... Pan wie to końcowe zdanie, które ja zawsze przypominam...

ZR: Kiedy po śmierci Bieruta... pamiętam taki fragment napisał, że...

KD: O tym śnie, prawda? Ten sen nie przedstawia Bieruta jako człowieka bardzo złego. A na końcu jest napisane takie zdanie: „I teraz wie, że Bóg jest i Bóg jest miłością”.

ZR: Właśnie o tym myślałem. O tym właśnie myślałem.

KD: No, ja rozumiem, ale to jest zdanie bardzo głębokie i bardzo daleko idące.

ZR: ?

KD: To nie jest zdanie, które on potępia. No, ale to są inne sprawy zupełnie, polityczne.

ZR: Tak, czyli wróćmy troszeczkę może bardziej do meritum. Profesor Kukliński wyraził swego czasu takie przekonanie, że w okresie Października nie zmarnowano szansy obalenia stalinizmu w geografii polskiej. Na czym to polegało, Pana zdaniem?

KD: Ja przypuszczam, że to jest powiedzenie. Nie przywiązywałbym większego znaczenia.

ZR: Co w takim razie nastąpiło po Październiku '56 roku? Czy nastąpiło cofnięcie w rozwoju geografii, czy odbywał się dalszy jej rozwój? Bo pod względem politycznym nastąpiło pewne cofnięcie.

KD: No, ale dopiero w '57 roku. Nie, ono się na geografii nie odbiło. Geografia wyszła na zagranicę. Zaczęto publikować i opracowywać prace w układzie względnej swobody. Tak że ja tutaj nie widziałbym takich wielkich problemów. W '59 roku powstał Komitet Przestrzennego Zagospodarowania Kraju.

Proszę Pana, jeśli chodzi o pozycję geografii w okresie stalinizmu, to ja Panu przytoczę takie powiedzenie, które jest dosyć ciekawe; ono charakteryzuje sytuację, że po '56 roku, czy po stalinizmie, sformułowano taką tezę, że nauki dzielą się na trzy kategorie: na nauki ideologiczne, w których obowiązkiem uczonego jest apologetyka ustroju, nauki techniczne, których zadaniem jest służenie rozwojowi społeczeństwa, czy przyspieszenie rozwoju społeczeństwa, i nauki matematyczno-przyrodnicze, w których nie ma ograniczenia swobody badań. Profesor Leszczycki włączył geografię do nauk matematyczno-przyrodniczych. To określa znacznie większą swobodę w geografii niż gdyby było inaczej. Bo mógł łatwo trzymać się schematu przedwojennego, w którym geografia ekonomiczna była w naukach społecznych, w wydziale pierwszym, a geografia fizyczna - w wydziale trzecim; w naukach matematyczno-przyrodniczych.

ZR: Ale wracając do wypowiedzi profesora Leszczyckiego. Otóż w '56 roku w „Przeglądzie Geograficznym” - to było podsumowanie Osiecznej - profesor Leszczycki napisał następująco: „Dyskusja w Osiecznej wykazała, że zawężenie geografii

ekonomicznej do badania rozmieszczenia tylko produkcji nie jest słuszne [...] dlatego w definicji geografii ekonomicznej obok słowa *produkcji* należy wstawić *i części usług*". Czy można Pana Profesora prosić o skomentowanie tego cytatu?

KD: To jest stwierdzenie, które – że się tak wyrażę – rehabilitowało geografię ekonomiczną jako geografię zajmującą się zjawiskami ekonomicznymi i społecznymi. To była deklaracja w układzie zewnętrznym, bo w wewnętrznym to nawet nie było takich specjalnych ograniczeń. Jakby Pan chciał tak powiedzieć, to było w jakimś sensie zaspokojenie domagań się, czy głosów profesor Zaleskiej.

ZR: Ale czy nie jest to pewien minimalizm, że jednak „części usług”. Że w zasadzie dominuje w dalszym ciągu produkcja, tylko koncesja jest na rzecz, powiedzmy...

KD: Tylko to jest sformułowanie na zewnątrz, a nie do wewnątrz. Ja bym to tak sformułował. Bo jak Pan weźmie na przykład moje sformułowania na temat geografii osadnictwa, to one są już znacznie szersze. To było raczej zielone światło na zewnątrz, dla geografów innych.

ZR: Chciałem z kolei zapytać, czy zdaniem Pana Profesora w latach sześćdziesiątych nastąpiło ukształtowanie się nowych ujęć badawczych w geografii. Czy był realizowany program Osiecznej? Na przykład, czy w geografii osadnictwa był realizowany program, który Pan Profesor przedstawił w Osiecznej?

KD: No to już odpowiedziałem. No, był realizowany. Zresztą we wszystkich tych kierunkach był realizowany. Po Osiecznej nastąpił rozwój geografii gałęziowych, ku zresztą niechęci pani Zaleskiej. Ale ten rozwój bardzo wyraźny jest. Nawet w publikacjach, w tematyce prac doktorskich to można przeprowadzić.

ZR: Czy wydarzenia polityczne roku '68, zdaniem Pana Profesora, wpłynęły na stan geografii polskiej?

KD: Moim zdaniem nie, ale niewątpliwie one kosztowały bardzo dużo profesora Leszczyckiego.

ZR: Czy można prosić o pogłębienie tego wątku?

KD: Ja wszystkich rzeczy nie znam. Profesor Leszczycki był jednym z 36 osób, które podpisały ten słynny list do Cyrankiewicza. I gdyby nie to, że złapał półpaśca

w tym okresie, to by może nawet miał dużo przykrości. W każdym razie miał dużo przykrości z tego powodu. Notabene profesor Leszczycki – to już takie anegdotyczne historie – był tym, który Cyrankiewiczowi zaniósł ten list, tekst tego listu. Ale Cyrankiewicz też nie był taki głupi. Cyrankiewicz ten list schował do kieszeni. On go nigdy nie włączył do akt. Ale potem ten list się dostał..., ktoś z tych, którzy go podpisali, go puścił do prasy i cała awantura się koło niego zrobiła. W każdym razie profesor Leszczycki przez pewien okres miał kłopoty. Ale to w sumie na geografii się nie odbiło.

ZR: Jak Pan Profesor w tej chwili ocenia wyjazd Kosińskiego? Bo to mniej więcej było w tym okresie. Ale nie w tym kontekście chciałem o to pytać.

KD: On był wcześniej. Proszę Pana, ja do Kosińskiego mam pretensje. Ja mu zresztą to powiedziałem. Kosiński, gdyby nie wyjechał, to byłby wicedyrektorem Instytutu. Uciekł przed stanowiskiem, przed pracą, która z tym była związana. I oczywiście uciekł z punktu widzenia lepszych warunków ekonomicznych. Natomiast w żadnym wypadku nie można mówić, że był prześladowany politycznie. To znaczy, jeśli on był prześladowany politycznie, to profesor Leszczycki był prześladowany politycznie, ja byłem. Pewne trudności może mogliśmy mieć, ale naprawdę nic mu nie groziło. Ale on to zrobił w '66 roku.

ZR: Moje pytanie zmierza do tego, jakie to miało konsekwencje dla geografii polskiej, zwłaszcza dla geografii osadnictwa?

KD: Nie miało większych. Przecież on wyjechał legalnie, potem sobie tylko przedłużał. Tak że fakt, że on nie wrócił... Trzy lata trwało, zanim to się w pełni wyjaśniło. Tak że to nie miało żadnych konsekwencji. Dla niego miało jedną konsekwencję, że w drugim wydaniu „Bazy ekonomicznej” – ja już nie pamiętam czy w pierwszym, czy w drugim – zażądano, żebym ja usunął jego nazwisko. Więc ja powiedziałem, że to nie jest możliwe, dlatego że to jest część dorobku geografii polskiej. Tylko tam złagodziłem jakieś przymiotniki. To były pertraktacje z cenzurą na ten temat. Ale to właściwie już wszystko.

ZR: Jaki, zdaniem Pana Profesora, był wpływ wydarzeń roku '70 na problematykę badawczą w geografii polskiej? Czy był w ogóle jakiś?

KD: Trudno mi powiedzieć. Chodzi o to, że w roku '70 został wprowadzony system ten planowania badań naukowych i finansowania, więc to miało pewien wpływ. Ale żeby był specjalny przełom, to nie mogę powiedzieć, albo żeby nowa tematyka jakaś specjalnie...

ZR: Właśnie, czy można prosić o pogłębienie tego wątku dotyczącego nowej organizacji badań, to znaczy problemów węzłowych? To znaczy, pytanie jest tutaj podwójne: z jednej strony – jakie wówczas Pan Profesor nadzieje z tym wiązał, i drugie – jak to dzisiaj Pan ocenia – tę nową organizację badań?

KD: Proszę Pana, ja specjalnych nadziei nie wiązałem. Po prostu staraliśmy się to zrealizować na to, żeby zapewnić możliwość i pieniądze dla badań geograficznych. I, jak mówię, w pewnym momencie nawet robiliśmy pewne nadużycia do finansowania badań w sposób bardzo naciągany. Ja osobiście system ten, który został wtedy utworzony i potem troszkę zmodyfikowany, oceniam raczej dodatnio. To znaczy, że to był system, który działał, ludzie się nauczyli, on się dotarł. Ja bardzo negatywnie oceniam ten system wprowadzony dwa lata temu, dlatego że on został wprowadzony przez ludzi młodych, czy ludzi nie znających całej specyfiki badań. Że się tak wyrażę, te błędy, które popełniono w latach siedemdziesiątych, oni zaczęli na nowo powtarzać. Ale muszę Panu powiedzieć, bo może Pan o tym nie wie, że w tym okresie, tylko nie pamiętam czy przed, czy po..., tego dokładnie nie powiem, była powołana komisja do usprawnienia finansowania, czy kierowania badaniami naukowymi. I mnie zrobiono przewodniczącym tej komisji. I myśmy złożyli raport na ten temat, postulując cały szereg rzeczy.

ZR: To był początek lat siedemdziesiątych?

KD: Albo koniec sześćdziesiątych, albo początek siedemdziesiątych, ja bym to musiał sprawdzić. Wtedy profesor Szymański był sekretarzem naukowym..., Szulkiwicz, Szymański...? Widzi Pan, już zaczynam się starzeć..., był sekretarzem naukowym. Ja muszę powiedzieć, że on przyjął bardzo pozytywnie. Myśmy złożyli taki raport i większość tych naszych postulatów została przyjęta. To znaczy, została uwzględniona. Znacząco, nastąpiło poważne uproszczenie, czy usprawnienie. To się mniej więcej łączyło z tymi elementami.

ZR: Następne moje pytanie dotyczy Drugiego Kongresu Nauki Polskiej w '73. Jak Pan Profesor ocenia ten kongres z punktu widzenia geografii?

KD: Ja muszę powiedzieć: nie oceniam. To znaczy, że zbudowano olbrzymią machinę, która urodziła mysz. Niemniej Drugi Kongres Nauki z punktu widzenia geografii doprowadził do utworzenia Wydziału VII – Nauk o Ziemi i Górniczych, co dla geografii było poważnym ułatwieniem i wzmocnieniem jej pozycji. Geografia w Wydziale III była piątym kołem u wozu i zawsze była takim kopciuszkiem, któremu spychano...; w Wydziale VII jest jedną z głównych grup...; to są takie grupy...

ZR: ... nacisku.

KD: Jest *lobby* geograficzne. *Lobby* geograficzne w Wydziale III było słabe; w Wydziale VII jest dosyć silne. Niezależnie od tego, że profesor Leszczycki jest w jakimś sensie ojcem tego wydziału, więc tę pewną pozycję ma. No, to jest jedna sprawa. No a druga – spowodowała rozszerzenie..., notabene tu się zaczęły rozchodzić drogi Kuklińskiego i Leszczyckiego. Kukliński starał się, czy wprowadził tę pozycję, żeby stworzyć Instytut Gospodarki Przestrzennej, no a profesor Leszczycki dodał, rozszerzył problematykę Instytutu Geografii w ten sposób...

ZR: ... zabierając wiatr z żagli.

KD: ... z żagli Kuklińskiemu. To jest moment, w którym się zaczęły między nimi niesnaski, które w latach osiemdziesiątych przybrały charakter bardzo nieprzyjemny. Profesor Kukliński jest strasznie gwałtowny. Czasami, że się tak wyrażę, bije na oślep. To mu zresztą bardzo szkodzi.

ZR: Jak Pan Profesor ocenia w sumie lata siedemdziesiąte dla rozwoju geografii polskiej?

KD: Nie mam zdania. Znaczący, ja nie wiem, czy nie jesteśmy za blisko tego okresu. Jedno jest pewne, że to jest okres wymiany pokoleń. To znaczy, że jest w tej chwili ciągle w geografii... jest pewien układ bezkrólewia.

ZR: Właśnie, czy wymiana pokoleń, zdaniem Pana Profesora, dotyczyła również liderów geografii, to znaczy osób odpowiedzialnych...?

KD: Dotyczyła wszystkich. Oni po prostu odchodzą na emeryturę, wymierają. Sprawa kryzysowa polega na tym, że następne pokolenie jest nieliczne. Największe straty wojenne poniosło pokolenie, które w okresie wojny miało od, powiedzmy, 15 do 30 lat. Starsi ponieśli mniejsze straty, a młodszy – też mniejsze straty. Osób w wieku profesora Kostrowickiego jest w całej Polsce dwie, czy trzy. Skutkiem tego, odejście tego pokolenia, które objęło władzę bezpośrednio po wojnie, właśnie profesor Leszczycki, Klimaszewski, Galon, Dylak, Zaleska, to byli ludzie, którzy w tej chwili albo już nie żyją, albo są na emeryturze. Osiemdziesięciolecie urodzin ich czcimy. Natomiast następnego pokolenia – ma Pan Kostrowickiego i kogo jeszcze? Po prostu układ taki, że jak jest trzydziestu ludzi, to prawdopodobieństwo, że będą wśród nich ludzie wybitni, jest pewne. Jak jest z tego pokolenia pięć osób, czy trzy osoby, to prawdopodobieństwo jest bardzo małe. I skutkiem tego to jest ten kryzys pewien geografii. A teraz profesor Kostrowicki już w przyszłym roku idzie na emeryturę.

Teraz już przychodzi to liczniejsze pokolenie. Z tym się zaczynają kłopoty. Bo w Akademii w tej chwili geografowie są bardzo silnie reprezentowani, bo jest w tej chwili sześciu geografów, a jak Galon jeszcze żył, to było siedmiu geografów. Liczyć na powiększenie ich liczby prawie że nie można. No, może się w jakimś wypadku uda dojść do ośmiu. Ale prawdopodobnie ta granica siedmiu to jest maksimum. To jest i tak bardzo dużo. Bardzo duża liczba członków Akademii. No i teraz wszyscy ci geografowie – poza profesorem Domańskim i Kostrowickim – mają powyżej 75 lat. No, nie, teraz, przepraszam, jeszcze Starkel jest. Ale niby na to, żeby wprowadzić tych następnych, którzy powinni wejść, na to żeby się opiekować geografią, znaczy Kozarski, Chojnicki, może Korcelli w pewnym momencie, to muszą wymrzeć ci starsi. No więc to są problemy personalne geografii polskiej. Równocześnie sytuacja jest taka, że geografia się rozrosła. Ja sądzę, że nawet sytuacja nie sprzyja temu, żeby się pojawił jeden człowiek taki jak profesor Leszczycki, który by sterował wszystkim. Profesor Leszczycki miał jeszcze jeden element dodatni, którego żaden inny z geografów w tej chwili nie posiada – może Kostrowicki trochę – że stoi na pograniczu geografii fizycznej i ekonomicznej, to znaczy że dychotomia jest bardzo wyraźna i bardzo ostra.

ZR: Chciałem z kolei zapytać, jak ocenia Pan Profesor wkład geografii ilościowej w rozwój geografii polskiej?

KD: Ja sędzę, że nie jest zły, nie jest nadzwyczajny. To się wiąże troszkę z niedoinwestowaniem geografii. Bo geografia ilościowa wymaga nie tylko *software*, ale i *hardware*. U nas się poprawiło w tej chwili. Geografia polska ma dobrą pozycję w tym zakresie, to znaczy że jest lepsza niż w innych krajach socjalistycznych w jakimś sensie.

ZR: Ale krajów socjalistycznych jest nie tak wiele, tak że nie bardzo się jest z kim porównywać.

KD: No niemniej jest... Jest przewaga oczywiście koncepcji teoretycznych nad opracowaniem... Geografia ilościowa jest postępowaniem metodycznym. I to nie jest postęp w sensie naukowym, w tym sensie, żeby się wiedza geograficzna w tej chwili rozbudowała. Metody pracy się podniosły na wyższy poziom. A wiedza musi narosnąć w stosunku do tych metod. Problem polega na tym, że geografia ilościowa, moim zdaniem, bardziej wymaga pracy zespołowej. Tych prac ilościowych jest bardzo dużo nawet w Polsce, stosunkowo dużo. Ale autorzy są tak zmęczeni opanowaniem metod, że jak piszą prace, to już prace są słabe od strony syntezy.

ZR: Czy sądzi Pan Profesor, że jest to kwestia zmęczenia, czy jest to kwestia ucieczki od rzeczywistości?

KD: Nie, to jest kwestia zmęczenia, to znaczy, że on już nie ma sił na to, żeby podsumować swoje wyniki. Może to się będzie tak układać, że to będzie przechodzenie od pracy doktorskiej do pracy habilitacyjnej, bo taki element może być. Poza tym oczywiście umysły analityczne i syntetyczne to są dwa różne umysły; nie zawsze ten element może być. No, poza tym problem polega na tym, że kiedyś Panu powiedziałem, że metody ilościowe mają element, że prowadzą do wyników, które są niesprawdzalne. Znaczący, jeżeli maszyna się pomyliła, to Pan nie jest w stanie... Są pewne metody sprawdzenia, ale tylko do pewnych granic. To jest jedna sprawa. Druga sprawa, że jest cały szereg rzeczy po drodze, które giną, których już Pan nie analizuje, z których można by bardzo wiele wniosków wyciągnąć. Tak że to są trudności, no ale na to nie ma rady.

ZR: Czy sądzi Pan Profesor, że w geografii polskiej była rewolucja ilościowa? Z naciskiem na *rewolucja*.

KD: No, w jakimś sensie była rewolucja, dlatego że zaczęto stosować metody i podejmować tematykę, która przedtem nie mogła być podjęta ze względu na pracochłonność materiału. Natomiast na ten temat pisałem, że problem polega na tym, że uzależnienie geografów od materiałów statystycznych wymaga krytycznego stosunku do materiałów statystycznych.

ZR: Na jaki okres Pan Profesor by datował tę rewolucję? Czy to jest koniec lat sześćdziesiątych, czy raczej początek?

KD: Nie, nie, koniec lat sześćdziesiątych. To można pracami doktorskimi, datowaniem prac doktorskich można. Sprawa rewolucji ilościowej polega na tym, że w tej chwili wchodzimy w fazę, że pewne metody stają się metodami standardowymi, nad którymi się nikt nie namyśla, tylko je przeprowadza. To jest tak jak... Zawsze używałem tego porównania, że to jest tak jak z samochodem. Jak było mało samochodów, to tam wykładano na kursach dla kierowców, jak jest skonstruowany model, motor i na czym polega fizyczna strona jego funkcjonowania. Obecnie nikt się nie interesuje. Wielu kierowców może mieć zaplombowany motor i jeździ. Ale dlaczego to się tak dzieje, to zupełnie sobie nie zdają sprawy. Wiedzą, że trzeba dodać benzyny i że pewna kolejność pewnych ruchów jest potrzebna, a bardzo często nawet, jak im motor stanie, to nie wiedzą, co zrobić. Taka sytuacja jest z metodami ilościowymi w geografii. Metody ilościowe są właściwie od strony teoretycznej, czy formalnej, już zagadnieniem matematyków, czy informatyków. Natomiast tutaj właśnie wychodzi ta międzydyscyplinarność. [...] Niemniej krytyczny stosunek... To jest faza. To znaczy, że można było mówić o metodzie ilościowej, teraz metody ilościowe zostaną wchłonięte. Oczekujemy, że geografowie wiedzą, co to jest, jak się nimi posługiwać i teraz wracamy do zagadnienia poznania środowiska człowieka.

ZR: Przejdźmy teraz do końca lat siedemdziesiątych. Chciałem zapytać, czy sądzi Pan Profesor, że nastąpiły wtedy objawy kryzysu w geografii polskiej – pod koniec lat siedemdziesiątych?

KD: Trudno mi odpowiedzieć. Ja już zaczynam wychodzić z obiegu. Znaczący, już nie wiem. Był moment, kiedy ja wiedziałem, co się dzieje w całej Polsce. Teraz już nie wiem. Ja sądzę zresztą, że twierdzenie, że jesteśmy w okresie kryzysu jest, że się tak wyrażę, wygodnym frazesem.

ZR: Ja nie twierdzę, że jesteśmy teraz, tylko czy pod koniec lat siedemdziesiątych, sądzi Pan Profesor, że taki kryzys nastąpił?

KD: Nie, nie sądzę. Ja nie widzę żadnych elementów przełomu, no! Wystąpił w tym sensie, że pewna grupa ludzi chciała się wypowiedzieć. Młode pokolenie ma zawsze...

ZR: Już mamy rok '80 i '81, tak?

KD: No tak. Nowe pokolenia ciągle narastają. Nowe pokolenie zawsze usiłuje znaleźć sobie punkt oparcia. Tak jak z tym Archimedesem: dajcie mi punkt oparcia, a ja podniosę Ziemię. Punktem oparcia jest opozycja w stosunku do poprzednich... To znaczy, że się dokona rewolucji. To jest potrzebne psychologicznie. Natomiast potem się okazuje, że rewolucja nie była taka wielka, albo była powrotem, czy odtworzeniem. No, niestety każdy musi sam przeżyć pewne fazy rozwoju. Na to nie ma rady.

ZR: Czy zgodziłby się Pan Profesor ze stwierdzeniem profesora Kuklińskiego, że w latach '80 i '81 głębokiemu zaangażowaniu i odwadze politycznej młodszej generacji geografów polskich towarzyszyła bojaźliwość w zakresie formułowania sądów krytycznych o stanie geografii polskiej?

KD: Tej odwagi nie widzę. Wobec tego nie widzę tej bojaźliwości.

ZR: Znaczący, akcent w pytaniu postawiłbym raczej na tę bojaźliwość, nie na odwagę. Czy sądzi Pan Profesor, że rzeczywiście istniała bojaźliwość naszego pokolenia w krytykowaniu dorobku dotychczasowego geografii polskiej?

KD: Proszę Pana, odwagę widzę w tym, że czuli potrzebę przeciwstawienia się. Bojaźliwości nie widzę. W jakim sensie? Trzeba powiedzieć, że na szczęście – może na szczęście nawet – geografowie polscy pozostali troszkę na uboczu tych wielkich przemian. Jeden tylko, właściwie nie geograf, tylko...

ZR: ... pracownik Instytutu...

KD: ... pracownik Instytutu był internowany. W całej Polsce ja nie wiem, czy jeden geograf był internowany. No więc nie ma właściwie o czym mówić. A jeśli chodzi o bojaźliwość... No, starsi ludzie, bardziej doświadczeni, nie spieszą się z obnażaniem się publicznym, dopóki nie są pewni, że nastąpiła zmiana sytuacji. To nie jest bojaźliwość, tylko jest doświadczenie.

ZR: Z tym, że Kukliński zarzuca bojaźliwość młodszemu pokoleniu. Przede wszystkim.

KD: Czy ja wiem... To znaczy...

ZR: Jego zdaniem, byliśmy za mało krytyczni w krytykowaniu geografii; że krytykowaliśmy otoczenie zewnętrzne, natomiast nie krytykowaliśmy sedna naszej działalności naukowej.

KD: Proszę Pana. Ponieważ, moim zdaniem... Ja nie wiem, czy było co krytykować. Można w ten sposób powiedzieć. Można krytykować wtedy, jeżeli jest zastój, czy jeżeli się nie dopuszcza pewnych metod, czy nie dopuszcza się pewnej tematyki. Właściwie tego nie było, wobec czego... Moim zdaniem, krytyka Kuklińskiego była robiona trochę na siłę, jeśli chodzi o samą geografę.

ZR: Jak w takim razie ocenia Pan Profesor wpływ stanu wojennego na sytuację geografii polskiej? Czy coś się zmieniło wtedy?

KD: Chyba nie. Niewiele. Może zresztą jest za wcześnie na to, żeby na ten temat mówić. Bo niech Pan pamięta, że od sytuacji do pracy naukowej, od pracy naukowej do publikacji, upływa ileś tam lat. My tu właściwie jeszcze ciągle mamy prace, które zajmują się rokiem przed osiemdziesiątym. [...]

Natomiast oczywiście mówienie o kryzysie jest elementem odśrodkowym. Pan wie zresztą o tej przygodzie Kuklińskiego. No bo on wydał ten tom angielski „Regional Policies in Poland”. No i on to wydał w układzie deklaracja rewolucyjna, czy krytyczna. W jednym piśmie angielskim ukazała się recenzja, która zarzuca temu tomowi, że jest językiem urzędowego optymizmu pisana. Kukliński jest po prostu zbulwersowany, bo nie można było nic gorszego napisać o jego pracy.

ZR: Przejdźmy w takim razie do Rydzyny. Chciałem zapytać Pana Profesora, jaka była geneza zwołania konferencji w Rydzynie.

KD: To już powiedziałem.

ZR: Ale kto był pomysłodawcą samego zwołania konferencji?

KD: No, to do mnie należało.

ZR: Jakie, zdaniem Pana Profesora, miała spełnić cele?

KD: Miała rozruszać z apatii młodsze pokolenie.

ZR: Sądzi Pan Profesor, że należało pobudzać młodsze pokolenie?

KD: Tak. Znaczy, że należało pobudzać do powrotu do normalnej pracy, do wysiłku. Stan wojenny wywołał przygnębienie, zresztą w całym społeczeństwie. I oczywiście najsilniejsze to przygnębienie wywarło się na młodszych ludziach. Czy ten skutek został osiągnięty, tego nie wiem. W jakimś sensie został, o tyle że żeście spojrzeli, żeście dokonali takiej czy innej oceny.

ZR: Jak Pan Profesor ocenia rezultaty Rydzyny?

KD: Rezultaty... Mnie jest trudno odpowiedzieć, bo to dopiero można w przyszłości zobaczyć. Jeśli chodzi o same referaty, no to one były bardzo nierówne. Tam doszło do takiej głupiej scysji wśród geomorfologów. Czyli ja byłem tym obrońcą gniewnego geomorfologa [Andrzeja Rachockiego - ZR]. No a jeżeli chodzi o Wasze opracowania, no to właściwie było niedocenienie... Znaczy, okazało się, że dla Was okres stalinowski jest okresem legendarnym. To znaczy, że już jest poza Waszą świadomością.

ZR: No, poza świadomością niewątpliwie, bo to jest zrozumiałe ze względów demograficznych.

KD: No ja rozumiem, ale to również proszę Pana... Znowu wracając do Leszczyckiego... No nie wiem, czy Pan sobie zdaje sprawę, że do historii geografii polskiej powojennej ma Pan pełną dokumentację. Dlatego że jednak Leszczycki pilnował; nie tylko archiwalną, ale nawet drukowaną. Jak Pan przejrzy „Przegląd Geograficzny”, to Pan ma sprawozdania ze wszystkich spotkań, ze wszystkich dyskusji. Oczywiście, że pewne rzeczy są złagodzone, że nie ma ostrości dyskusji, ale zagadnienia tam są.

ZR: Ja muszę przyznać, że to jest dla mnie pewna nowość.

KD: No niech Pan zobaczy. Wznowiono „Przegląd Geograficzny” po Pierwszym Kongresie i Leszczycki niesłuchanie pilnuje. Ze wszystkich rad naukowych protokoły, wszystko jest publikowane. To samo Komitet Przestrzennego Zagospodarowania Kraju. Pod tym względem dokumentacja jest, że się tak wyrażę, zupełnie zaskakująca; lepsza niż w innych gałęziach nauki.

ZR: Ale czy nie zgodziłby się Pan Profesor tutaj ze stwierdzeniem Kuklińskiego, że to, co jest publikowane, to jest geografia jubileuszowa? Już nie chcę powiedzieć, że hagiograficzna, bo to nie o to chodzi w tym momencie.

KD: Proszę Pana, gdybym miał przekonanie, że są jakieś prace nie opublikowane... To znaczy to jest złagodzone; to, co jest opublikowane, jest złagodzone. Znaczy, że nie ma najostrzejszych elementów dyskusji. Ale można by do nich się dogrzebać na końcu. Natomiast, jeśli chodzi o prace naukowe, no to nie znam pracy, którą by należało opublikować, która jest nie opublikowana. Proszę Pana, praca naukowa, dobra praca naukowa, broni się sama. Ona nie zginie.

Wpłynęło/received 19.07.2018; poprawiono/revised 14.07.2020